MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 3 WARSZAWA, 17 STYCZNIA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

PROGRAM I IDEOLOGIE GOSPODARCZE

ROZWAŻANIA nad zagadnieniem programu gospodarczego dobiegają końca. Zamykając je, pragniemy uwypuklić następujące linie przewodnie, które nami kierowały. Po pierwsze, nie szukaliśmy jakiegoś głównego, cudownego lekarstwa na niedomagania polskiego gospodarstwa narodowego. Po drugie, nie formułowaliśmy postulatów polityczno-gospodarczych z punktu widzenia jakiejkolwiek grupy czy klasy społecznej, widząc w nich wszystkich tylko części większej całości. Po trzecie, zajmowaliśmy się programem praktycznym, to znaczy w danych warunkach możliwym do urzeczywistnienia; nie wyklucza to jednak możliwości wysuwania idei, sięgających głębiej, których urzeczywistnienie wymaga głębszych przeobrażeń duchowych. Na tem tle można uwydatnić różnicę, która zachodzi między programem gospodarczym a ideologią, a zarazem i związek, istniejący między niemi.

Być może, że niejeden czytelnik dozna zawodu, nie znajdując tego, czego oczekiwał. Wielu ludzi, którzy zresztą nawet poważnie traktują zagadnienia gospodarcze, być może, że pod wpływem prasy, goniącej za sensacją, czy też ogólnej atmosfery, w której szuka się jakichś podniecających pierwiastków, szuka nadzwyczajnych dróg wyjścia z trudności gospodarczych; radykalnych, niezwykłych lekarstw. Nie przemawiają do nich wskazania zdrowego sensu ekonomicznego. Nie rozumieją, że o powodzeniu idei programowych rozstrzyga wytrwała wola, a nie ich wielka oryginalność.

Przypomnijmy sobie wielkich reformatorów gospodarstwa czy finansów. Bez względu na to, czy to będzie Colbert we Francji w w. XVII lub Poincaré XX wieku, czy Sella we Włoszech, czy Gladstone w Anglii, czy Lubecki w Polsce, otrzymamy jedno ogólne wrażenie. Ludzie ci nie byli twórcami oryginalnych haseł, nie robili wynalazków. Bardzo często podejmowali programy, których nie udało się urzeczywistnić ich mniej szczęśliwym poprzednikom. Ale umieli z jednej strony wzbudzić do siebie zaufanie, a z drugiej stosować wytrwale bardzo proste zasady.

Cała w tem sztuka, by umieć powiązać w jedną całość najrozmaitsze, drobne nawet zabiegi, by polityka gospodarcza i finansowa była prowadzona konsekwentnie, nie zawierała niedociągnięć i zaniedbań, paraliżujących skuteczne posunięcia. Nie ma jednego lekarstwa na gospodarcze trudności. Nie można np. twierdzić, że sama reforma waluty, czy też samo osiągnięcie równowagi budżetu uzdrowi położenie. Umysł ludzki ma skłonność do uproszczeń, szuka instynktownie jakiegoś jednego klucza, który otworzy wszystkie zamki. Ale taki monizm ekonomiczny jest bardzo zawodny. Skupiając uwagę na jednym punkcie, choćby ten w danej chwili był najważniejszy, łatwo popaść w skrajność, jedne niedomagania zastąpić drugiemi.

A już w każdym razie nie można zagadnień gospodarczych stawiać w sposób ogólnikowy, jeżeli się nie dojdzie do praktycznych rozstrzygnięć. Ogólne hasła mogą pobudzić uczucia i umysły; mogą być wolnem narzędziem agitacyjnem. Ale ta m a g i a s ł ó w nie uzdrowi gospodarczego położenia.

W związku z takiem pojmowaniem zagadnień programowych pozostaje i metoda ich uregulowania, porządek, w jakim się je ujmuje. Ustalił się pewien szablon programów, opracowywanych przez różne grupy polityczne. Stronnictwo klasowe wysuwa na czoło oczywiście swoją klasę, której chce dać władzę w państwie, wylicza jej postulaty, spisuje jej krzywdy i żale. W takim programie nie znajdziemy często istotnych nawet zagadnień polityki gospodarczej, o ile nie mają one związku z „bolączkami" klasowemi. Ale narówni nawet i w programach ogólno - narodowego stronnictwa bierze się za punkt wyjścia podział na klasy społeczne i kolejno omawia ich postulaty i dążenia, przestrzegając jednak idei kompromisu i równowagi między postulatami różnych warstw społeczeństwa.

Dla nas te wszystkie zagadnienia rysują się

inaczej. Wiele z nich ma tak ogólny charakter, że nie podobna ich powiązać z interesami tej lub innej grupy społecznej. A gdy omawiamy sprawy pewnego działu produkcji, czy warstwy społecznej, odrazu występuje ich związek z interesami innej grupy i interesami całości. Nie dzielimy odrazu gospodarstwa na rolnictwo, przemysł i handel, społeczeństwa na przedsiębiorców i robotników, kapitalistów i proletariat. Pragniemy przełamać psychozę, urobioną pod wpływem socjalistycznym, dzięki której każda grupa społeczna myśli przedewszystkiem o swoich interesach i swoich krzywdach, zatraca zrozumienie całości gospodarstwa narodowego. Widząc tę całość, wysunęliśmy na czoło zagadnienie wytwórczości, sformułowaliśmy ideę produktywizmu narodowego. Na jej tle rozpatrujemy partykularne zagadnienia. W tem oświetleniu wystąpiło wyraźnie zagadnienie wewnętrznej i zewnętrznej niezależności gospodarczej. Uwydatniają się również nie tylko związki, które zachodzą między poszczególnemi działami gospodarstwa, lecz również jego zależność od moralności prawa i ogólnej polityki narodu.

Nakreśliliśmy program gospodarczy Polski. Jak wiadomo, ten program, jeżeli ma być godnym tej nazwy musi być wyrazem określonej ideologii, obejmującej całość życia narodu. Wynika choćby z tego, że gospodarstwo nie jest ostatecznym celem, lecz narzędziem, stworzonem do innych celów; jest jednym tylko z przejawów życia narodu. I warto też, na zakończenie, określić dokładniej różnicę, która zachodzi między programem a ideologią gospodarczą.

Na pierwszy rzut oka różnica ta wyrażałaby się w tem, że ideologia zawiera najogólniejsze idee przewodnie, najgłówniejsze zasady bytu narodowego, a natomiast program nadaje tym ideom treść bardziej konkretną i szczegółową. Program byłby niejako rozwinięciem ideologii, jej praktycznem sformułowaniem. Ale to rozróżnienie nie wystarczy, trzeba zwrócić uwagę na inne jeszcze pierwiastki.

Ideologia gospodarcza sięga dalej i głębiej, aniżeli program gospodarczy. Mieści się w niej najogólniejszy pogląd na gospodarstwo, na jego przeznaczenie w całem życiu narodu; wyraża niejako ideał, przytem nie bierze się pod uwagę jego pełnej realizacji w danych warunkach czasu i miejsca. *Ideologia formułuje pewne zasady, bez względu na to, czy w całości można je wykonać. Program formułuje postulaty, które są oczywiście zgodne z ideologią, ale tylko te, które można w danej chwili urzeczywistniać.* Ideologia wskazuje na cel, ale nie musi się pytać o to na jakiej drodze, w jaki sposób ten cel zostanie osiągnięty. Natomiast ten, kto chce opracować program gospodarczy, nie może pominąć tych pytań; bez ich rozstrzygnięcia każdy program zawiśnie w powietrzu.

Np. możemy żywić ten ideał, by osiągnąć pełną niezależność od zagranicy pod względem gospodarczym. Ale nie nadajemy jednostronnie dowolnego charakteru gospodarstwu światowemu; w danych warunkach nakłada ono pewne ograniczenia naszemu gospodarstwu, z czem musi się liczyć program gospodarczy.

W świetle ogólnej ideologji może się wydać najsprawiedliwszym i najlepszym ustrój, który ograniczy do minimum wielką produkcję przemysłową. Ale wzgląd na przygotowanie obrony kraju na przypadek wojny, nie pozwoli na skrajne urzeczywistnienie tej zasady. Taki a nie inny system pieniężny odpowiadałby najlepiej naszym zapatrywaniom na funkcje pieniądza, ale międzynarodowa sytuacja finansowa może narzucić inną politykę walutową.

To jeszcze nie wszystko. Program gospodarczy posługuje się zwyczajnemi metodami polityki gospodarczej i finansowej, wskazuje na konkretne środki działania. Ideologia gospodarcza, ponieważ głębiej i dalej sięga, wymaga spełnienia czegoś jeszcze więcej, w szczególności wymaga przeobrażeń psychiki narodu.

Formułując postulaty programowe, liczymy się z aktualną rzeczywistością; bierzemy ludzi takimi, jakimi są, uwzględniamy to, do czego są zdolni, ich obecne właściwości duchowe. Głębsze zmiany można przeprowadzić najpierw dzięki wychowaniu przyszłych pokoleń, którego przewodnie linje ustala ogólna ideologia narodowa, uwzględniająca także i gospodarcze potrzeby. Ale przerobić duszy społeczeństwa nie można z dnia na dzień ani nawet z roku na rok. Praktyczny polityk musi oceniać nietylko wartość idei, lecz również i wartość żywych ludzi, którzy je mają urzeczywistniać.

Wielkie przemiany gospodarcze nie zachodzą nigdy w odosobnieniu, niezależnie od innych dziedzin życia. Nowy ustrój społeczno-gospodarczy jest zwykle następstwem przewrotu moralno-religijnego, który sięga bardzo głęboko, bo wywołuje zmianę motywów zbiorowego działania. Kto nie docenia tych pierwiastków, ten nie zrozumie dziejów gospodarczych. A równocześnie ten, ktoby chciał urzeczywistniać naszą ideologję, nadać jej charakter natychmiast wykonywanego programu, zanim ta ideologja przerobi ludzkie dusze, dozna bardzo bolesnych zawodów.

Ideolog może pragnąć tego, by wyrugować z gospodarstwa egoizm gospodarczy. Wymaga to zmiany psychiki społecznej, zmiany moralności. Nie zdoła się tej zmiany narzucić przez sam fakt stosowania przymusu, na drodze ustawodawczej czy administracyjnej. *Vanae sine moribus leges* — o tem uczy historja na każdej swojej karcie. Kto układa program gospodarczy, musi się liczyć z rzeczywistymi motywami ludzkiego działania, musi znać materjał, z którego chce budować. Najszlachetniejsza ideologja, która nie liczy się z rzeczywistością, która chce się urzeczywistniać, zanim ona wychowała społeczeństwo, bardzo łatwo zamiast wytępienia egoizmu rozpęta nowe jeszcze egoizmy na miejsce dawnych, bodaj że jeszcze gorsze.

Istnieją więc różnice między ideologią a programem gospodarczym. Ale zarazem istnieje związek między nimi. Program gospodarczy, nie oparty na ideologii, nie ma mocnego gruntu. Ideologia, która nie potrafi doprowadzić do stworzenia realnego programu, zgodnego z rzeczywistymi możliwościami, zabłąka się w utopiach. I jedno i drugie jest potrzebne i jedno i drugie winno się rozwijać w ścisłej z sobą łączności, ale ani ideologia nie zastąpi programu, ani program — ideologii.

ROMAN RYBARSKI

OD ŁAWY SZKOLNEJ

W TRWAJĄCEJ od pewnego czasu polsko-żydowskiej wojnie cywilnej strona polska dotarła do jednego z głównych jazów zalewu żydowskiego — do ławy szkolnej. Polska młodzież wyższych uczelni Rzeczypospolitej walczy obecnie o całkowite uwolnienie od żydów szkolnictwa polskiego, a dążąc do tego celu dalszego, narazie domaga się procentowego ograniczenia ilości uczniów żydowskich, oraz rozgraniczenia w salach wykładowych miejsc żydowskich od polskich.

O ile cel w zakresie szkolnictwa ostateczny, a także ten pośredni—tak zw. *numerus clausus* — są przez narodowy ogół polski rozumiane i dobrze oceniane, o tyle walkę o rozgraniczenie miejsc popiera się argumentami tak powierzchownemi, że z poza nich jasno wyziera zakłopotanie zjawiskiem, dla którego nie znajduje się odpowiedniej wagi gatunkowej. Wobec tego obowiązkiem ludzi myślących jest oświetlenie właściwej wartości owej walki o miejsca, pozornie tak błahej.

Od samego zarania bytu swojego żydzi są narodem pasorzytniczym. Najgłębsza ta, i nie dająca się usunąć cecha narodowego charakteru żydów objawia się wszechstronnie, a więc tak samo w kulturalnej, jak w politycznej i gospodarczej życia dziedzinie. Naród „żydowski nie miał i nie może mieć innego wyboru, jak tylko ten: albo śmierć, albo usadowienie się na innym narodzie, a najlepiej — na wielu innych narodach. Krótko mówiąc: albo śmierć, albo pasorzytnictwo.

Podstawowym warunkiem życia pasorzytniczego jest, oczywiście, bezpośredni dostęp pasorzyta do gospodarza. Gdyby człowiek nie zabijał pluskiew domowych, gdyby pozwolił im żyć obok siebie w cieple i spokoju, oraz korzystać z jadła, jakie jest w domu i ze swobody, ale uniemożliwił im tylko włażenie na człowieka i kąsanie go dla wytoczenia krwi, pluskwy musiałyby w krótkim czasie wyemigrować z ludzkiego mieszkania. Zupełnie to samo dzieje się z żydami.

Mamy tedy dostateczne wytłumaczenie tego dziwnego dla oczu ludzkich objawu, że żydzi godzą się na wszelkie poniżenia, byle tylko nie utracić bezpośrednich stosunków z ludźmi otoczenia. Gdy każdy inny naród osobność swoją ceni jako swoje dobro najwyższe, żydzi przeciwnie — narażają się na wszystko najgorsze, aby uniknąć odosobnienia. Rys ten w ścisłej pozostaje łączności z dwiema powszechnie znanemi cechami żydowskiego charakteru narodowego—z natręctwem i uniżonością.

Obok bezpośredniego dostępu do ludzi, drugim nieodzownym warunkiem pasorzytnictwa żydowskiego musi być stosowanie względem nich wszechstronnego, na wielką skalę rozwiniętego i nieustannego oszustwa. Jasne to dla każdego, że pasorzyt o kształcie do człowieka podobnym musi przed ludźmi charakter swój i zamiary jaknajstaranniej ukrywać, dbając natomiast o najlepsze pozory życzliwości swojej, przyjaźni i miłości dla wszystkich ludzi, dla całej ludzkości „bez różnicy wyznań, ras i narodów". Znamy, istotnie, to naczelne hasło wszelkich doktryn żydowskich, na oszukiwanie świata przeznaczonych.

Oszustwa, w tak olbrzymich rozmiarach zakreślonego, nie mógłby podjąć i przez tysiąclecia dokonywać naród, zgóry i swoiście do tego nie przysposobiony. Ale naród żydowski z urodzenia otrzymał od przyrody znakomite dla tego celu kalectwo w postaci wyjątkowego, wręcz potwornego przerostu mózgowości. Pozbawiony związków z przyrodą, a tem samem zasadniczo nietwórczy, duch żydowski, a więc i umysł zawisa w próżni, w której nie istnieją żadne normy, prawa, prawdy, sprawdziany, a pozostają tylko nazwy, puste słowa mowy, któremi można żonglować według własnej potrzeby praktycznej. Od pierwszego tedy zetknięcia się z życiem to kalectwo żydowskie przeradza się w nieogarnioną, a z biegiem wieków coraz dokładniej wiązaną sieć oszustwa.

Przy nerwowej ruchliwości żydów atrybutem ich mózgowości stało się połączenie sprytu z brakiem twórczości, a w tem zabarwieniu mózgowość żydów zgóry przeznacza ich do życia pasorzytniczego, podając im jednocześnie pierwszorzędnej wartości oręż w postaci, że tak powiem, niewinności oszustwa, czyli przyrodzonej jego dla nich konieczności. Moralność żydowska nie potępia, nie może potępiać oszustwa, jest ono bowiem najistotniejszą treścią narodowego charakteru żydów, szczytem ich wysiłku umysłowego, sednem ich ducha. Pustka wewnętrzna czyni ich przytem doskonałymi aktorami, faktorami i adwokatami, te zaś trzy talenty doprowadzają oszustwo ich do arcydzieł artyzmu.

Trzecim warunkiem żydowskiego pasorzytnictwa jest umiejętność osłabiania gospodarza do takiego stopnia, żeby nie zamarł i nie przestał pracować, ale żeby już nie miał siły pozbyć się pasorzyta. Wiadomo, że żydzi przy pomocy takiego narzędzia, jak ich genjusz oszustwa, raz po raz wypracowują i w świat puszczają odpowiednie nauki, teorie, doktryny, nastawienia duchowe, hasła, stowarzyszenia, które służą wyłącznie do rozkładania, rozbrajania i osłabiania społeczeństw, na pożywkę dla żydów przeznaczonych. W umiejętności tej żydzi ćwiczą się od kilku tysięcy lat i mogą się w niej poszczycić dziełami o imponującym rozmiarze i rozmachu. Zresztą rozpiętość w wielkości i wadze przedmiotów i zjawisk poddanych tej umiejętności żydowskiej jest olbrzymia: Żydzi fałszują wszystko — od masła do religii.

Czwartym wreszcie zpośród głównych warunków pasorzytnictwa żydowskiego jest wola i żądza wyzysku. Przyroda i tu hojnie naród żydowski obdarzyła. W charakterze żydów tkwi ślepa, zaciekła i zachłanna żądza wyzysku, świetnie wzmagana przez ich okrucieństwo (prawdziwie assyryjskie) przez pogardę do pracy, zwłaszcza fizycznej (prawdziwie babilońską), oraz przez megalomanję, dla której nie ma na kuli ziemskiej godnego w innych narodach porównania. Nawet taki rys narodowego charakteru żydów, jak tchórzostwo, pomaga im do pasorzytowania, ucząc umiejętnego ukrywania się, cierpliwości w podstępach i wytrwałości w zemście, którą duch żydowski stale przeciwko wszystkim i wszystkiemu oddycha.

Rozważając naszkicowany tu splot głównych

sił duchowych, z pasorzytnictwem żydowskiem współdziałających, zauważymy łatwo, że wszystkie one (razem z wieloma innemi) na nic by się żydom przydawać nie mogły bez tego zasadniczego warunku uprzedniego, którym jest bezpośredni dostęp posorzyta do gospodarza. Istotnie. Kto chce na danym narodzie pasorzytować, a zatem— oszukiwać go, wyzyskiwać i osłabiać, ten musi wszystkie jego właściwości dokładnie poznać, umieć go pod każdym względem naśladować, czyli — udawać, oraz wszechstronne jego zdobyć dla siebię zaufanie. A to wszystko tylko pod warunkiem utrzymywania najbliższych z nim stosunków osiągnąć można. Tak więc sprawa bezpośredniego dostępu do wnętrza narodów upatrzonych, sprawa wciskania się w ich życie gospodarcze, społeczne, polityczne, duchowe, towarzyskie, rodzinne — staje się kluczem całego żydów stanowiska na świecie, jako sprawa ich życia i śmierci. To rzecz jasna i bezsporna.

Wobec tego zjawia się następnie zasadnicze pytanie taktyczne: jaka droga najprościej i najpewniej do przenikania społeczeństw prowadzi? W ciągu długowiecznej historii swojej żydzi wielu dróg do tego celu wiodących próbowali i doświadczali, których różnorodność od wielu okoliczności czasu i miejsca zależała. Nie ma tu potrzeby wyliczania ich, jakkolwiek niektóre do dziś dnia w użyteczności swej niezmiennie dobre pozostały. Czasy atoli najnowsze, od wieku ubiegłego począwszy, otwarły żydom do celu owego nową drogę i tak wspaniałą, że ta jedna za wszystkie wystarczyć może. Jest nią mianowicie nowożytne szkolnictwo powszechne.

Szkoły średnie i wyższe — cóż to za idealny teren dla znajomości, przyjaźni, propagandy i wpływów! Młodzież bezbronna jest, ufna, wrażliwa i zapalna. Węzły koleżeńskie, w szkole zadzierżgnięte, czułe są i mocne, przyjaźni na ławie szkolnej zawarte, o ile są umiejętnie potrzymywane, przetrwają całe życie i wszelkim oprzeć się mogą wstrząśnieniom. Współżycie szkolne niepostrzeżenie otwiera drzwi do domów rodzinnych. Dzieci żydowskie są starcze od urodzenia, a jako rasa niższa, na podobieństwo murzynów, do pewnej granicy wieku rozwijają się o wiele szybciej od dzieci aryjskich, odrazu przeto zyskują nad nimi przewagę, którą z wrodzonym sprytem, a przytem, pod kierunkiem dorosłych żydów, z całą właściwą żydom bezwzględnością wyzyskują. Wpływ rozkładowy, przez żydów na otoczenie wywierany, zaczyna się tedy już na ławie szkolnej, jest przeto o wiele skuteczniejszy i groźniejszy. We wspólnej szkole żydzi od lat dziecinnych i młodzieńczych uczą się naśladowania charakteru, obyczajów i zachowania się ludzi otoczenia, co staje się w ich rękach potężną bronią w postaci doskonałego oszustwa i prowokacji. Dzieci aryjskie wspólnie z żydami, a często (jak w Polsce naprzykład) przez nauczycieli żydowskich wychowywane zatracają poczucie odrębności rasowej i narodowej, tępieją moralnie, a w stosunku do narodu żydowskiego „oswajają się" wcześnie i na zawsze. (Sami żydzi wynaleźli wzięte tu w cudzysłów określenie: oni „oswajają, gojów", jak my — dzikie zwierzęta).

Gdy tak liczne i cenne ze wspólnego szkolnictwa płyną dla żydów korzyści (a wyliczyłem tu tylko co najgłówniejsze), nie dziw zatem, że żydzi ławą do wspólnej ławy szkolnej się rzucili. Obecnie zaś ideje odrębnego dla żydów w danem państwie szkolnictwa ze swoistym wrzaskiem ogłaszają za objaw skrajnego antysemityzmu, czarnosecińśtwa, chuligaństwa, wstecznictwa, faszyzmu i wręcz nagiego hitleryzmu. Nerwy ich zdradzają, że tu im nie o naukę i nie o kulturę chodzi, (które każdy naród chce we własnej nabywać szkole), ale o cele czysto polityczne, najbliżej z imperializmem żydowskim związane.

„Od ławy szkolnej" — oto hasło, które obecnie prowadzi zastępy żydów, przeznaczonych do najgłębszego wciskania się w polityczne, społeczne, kulturalne, towarzyskie i rodzinne życie wykształconych warstw narodu polskiego. Główny nacisk groźnego zalewu żydowskiego skierowany jest na młodzież polską, ta zaś, samej sobie pozostawiona, na swój sposób przedsięwzięła obronę własną, która jednocześnie jest obroną narodu polskiego. Obok, mianowicie, głównego celu t. j. zupełnego uwolnienia szkół polskich od żydów — (zarówno od uczniów jak i nauczycieli żydowskich) — młodzież polska stawia dwa pośrednie cele doraźne: *numerus clausus* i rozdział miejsc w salach wykładowych.

W świetle rozumowań, szkicowo tu przeprowadzonych, jak tedy przedstawia się temat rozprawki niniejszej, t. j. właśnie sprawa podziału miejsc szkolnych na polskie i żydowskie? Sprawa napozór drugorzędna nabiera, jak widzimy, znaczenia podstawowego. Skoro, narazie, nie daje się żydów całkiem ze szkół polskich usunąć, trzeba ich odosobnić. W granicach możliwości swoich młodzież tę sprawę rozwiązała, zaiste, w sposób genialny. Odosobnić: słowo to w zastosowaniu do żydów znaczy to samo, co oddzielenie siebie szybą dla uchronienia się od pluskiew. Nie przeszkadza to żydom uczyć się, studjować, w całej pełni ze szkoły korzystać, a uwalnia jedynie młodzież polską od towarzystwa ze wszechmiar dla niej niepożądanego.

Rozdział miejsc w salach wykładowych w sposób dla każdego widoczny dzień w dzień uprzytamnia młodzieży polskiej obecność jej wroga, przecina raz na zawsze utrzymywanie z nim stosunków towarzyskich i uniemożliwia tem samem wciskanie się żydów do rodzinnego i duchowego życia polskiego. Ten jeden tak spokojny i łagodny zabieg profilaktyczny ochrania społeczeństwo polskie od wielu zatruć żydowskich i to w okresie dla rozwoju organizmu ludzkiego najwrażliwszym oraz w dziedzinach najczulszych, najłatwiej na działanie każdej trucizny podatnych. Ochraniając zaś młodzież, ochrania całe, które z niej wkrótce wyrośnie, nowe pokolenie narodu, a przez to zapowiada gruntowne jego odrodzenie.

Tak więc walka o rozdział miejsc nietylko młodzieży polskiej jej zdrowie moralne zapewnia, ale w dalszej tego zagadnienia perspektywie cały naród od przenikania żydowskiego uwalnia. Jest to czyn, który można porównać do odwrócenia biegu rzeki u samych jej źródeł. Zmiana kierunku jej nurtu w środkowej części jej przebiegu jest przedsięwzięciem trudnem i kosztownem, natomiast u źródeł dokonana być może nawet przez domorosłą inżynierję młodzieńczą. Rzeczą jest niemal beznadziejną tamowanie zalewu żydowskiego w polskiem pokoleniu dorosłem, natomiast w szkole może być dokonane łatwo, chociaż na pełnię jego skutków trzeba będzie zaczekać. Częściowa jednak zwłoka ta nie ma znaczenia wobec pewności, że

tak czy owak zupełne rozwiązanie sprawy żydowskiej wymaga wysiłku nie jednego, lecz paru czynnych pokoleń.

Społeczeństwo polskie obarcza wdzięczny obowiązek wszechstronnego popierania polskiej młodzieży narodowej w jej wojnie o rozdział miejsc w szkołach. Wojna ta rozumna jest i uczciwa, a wielkie i szlachetne są cele jej ostateczne. Niech młode nasze pokolenia od ławy szkolnej zaprawiają się w trudnej wojnie cywilnej, o wolność i wielkość narodu polskiego prowadzonej, — te pokolenia właśnie, które żydostwo na zatrucie od ławy szkolnej przeznaczyło!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ŻYDZI W ANGLII

(Dokończenie)

KORESPONDENT warszawskiego dziennika z Londynu pisze, że „jedynym żydem redaktorem pisma angielskiego był do r. 1930 red. „*Daily Expressu*" Blumenfeld. Wiadomość ta, jak i wiele innych, mocno niedokładna. Blumenfeld, żyd węgierski, był redaktorem nietylko „*DailyExpressu*", ale i „*Daily Maila*" a co się tyczy „*Daily Expressu*" to nietylko redagował ów dziennik, ale był też jego wydawcą do r. 1917, póki go nie odkupił lord Beaverbrook, czyli też żyd Max Aitken. W tymże „*Daily Expressie*" jednym z redaktorów jest J. Ellis Barker, a właściwie Eltzbacher z Kolonji; nazwisko jego widywaliśmy też i w poważnym miesięczniku „*The Nineteenth Centhury.*" Kierownikiem polityki zagranicznej w „*Daily Graphic*" i w „*Graphic*", bardzo rozpowszechnionym tygodniku, jest Lucien Wolf, żyd czeski. Znany on jest i w świecie literackim; o ile mię pamięć nie myli napisał wstęp do przekładu angielskiego Nietschego. W gronie współpracowników prasy t. zw. Northcliffowskiej znaleźć można niejednego żyda. Mniejsza już o samego Northcliffa (Alfreda Harmswortha), co do którego powiadają, że pochodzi z Frankfurtu nad Menem, gdzie jego ojciec nazywał się Stern. Koncern pism, prowadzony przez jego brata lorda Rothermere współpracuje z kapitałem Rotschilda.

Korespondent z Londynu pisma warszawskiego nie spostrzega żydów w prasie angielskiej. Miły Boże! Poszukajmy jeszcze trochę. Założycielem „*The Referee*" jest żyd Henry Sampson, wydawcą humorystyczno - satyrycznego tygodnika „*London Opinion*" jest żyd L. Springfield, wydawcą i redaktorem tygodnika „*Saturday Review*" jest żyd A. Bauman, miesięcznik „*British Rewiew*" wydaje żyd W. Dawson, słynny kwartalnik „*Edinburgh Review*" należy do kapitału żydowskiego pp. Longmans, Greena i Sp., a znany i doskonały miesięcznik „*The Fortnightly Review*" na wzór „*Revue des Deux Mondes*", wydawany jest za pieniądze żydowskie pp. Chapmana i Halla, tygodnik "*The National News*" założył Goodfrey Isaacs, kierownikiem „*John Bulla*" był żyd I. S. Elias obecnie zaś jego redaktorem i współwłaścicielem jest też żyd Samuel Phillips; redaktorem głównym tradycyjnego „*Puncha*" jest żyd Seaman, zresztą bardzo utalentowany.

Ba! Słynna ajencja telegraficzna Reutera, współpracująca przecież z rządem, jest w rękach żydowskich. Rodzina Reuterów, naturalizowana w Anglji i wyniesiona do godności baronów, jest żydowska i pochodzi z niemieckiego księstwa Koburg. Głównym współpracownikiem Reutera przez dziesiątki lat był żyd dr. Engländer. Akcje Reutera znajdują sie obecnie w rękach lorda Rotschilda i Goodfrey Isaacsa, dyr. Marconi Company.

Nie jest więc tak trudno dostrzec żydów w prasie angielskiej.

A co się tyczy literatury, to trzeba wziąć pod uwagę, że rynek angielski księgarski, prócz pewnej niewielkiej zresztą liczby „gwiazd", zalewany jest produkcją na średnią miarę, w dużym stopniu kobiecą, i tam niejedno nazwisko angielskie ukrywa córę Izraela, które są na polu literackiem bardzo płodne. Wystarczy dla pikanterji nadmienić, że długoletnią sekretarką znakomitego pisarza i historyka angielskiego Belloca, autorką krytycznej książki „*The Jews*" była żydówka miss Ruby Goldschmith. Na polu krytyki literackiej, a w poważnych pismach, jak „*The Times Literary Suplement*", artykuły są bezimienne, znaleźlibyśmy też niejedno nazwisko żydowskie. Zresztą kierownik działu literackiego „*Timesa*" — to Samuel Phillips, żyd.

Żydów znaleźć można i w zawodzie prawniczym i w sądownictwie angielskiem. Pomijając już słynnego Rufusa Isaacsa, co osiągnął najwyższe stanowiska w sądownictwie, mianowicie prokuratora generalnego i wielkiego sędziego, wymieńmy z pamięci H. H. Slessera, (*Lord Justice*), adwokatów Claude i George Schuster'ów oraz B. A. Cohena, który jest barristerem czyli adwokatem, broniącym w wyższych sądach.

Żydzi mają również pewne związki ze sprawami szkolnictwa i wychowania, wystarczy wskazać na takie nazwiska, jak M. A. Spielman, D. Levy, prof. H. Laski, prof. A. E. Zimmern, którzy zabierają głos w tych kwestjach, bądź zajmują pewne stanowiska w odpowiednich instytucjach. Oto np. sir Daniel Lewy, speaker w parlamencie Nowej Południowej Walji, a więc osobistość bardzo wybitna, jest zarazem autorem prac z dziedziny wychowania. A znów generalnym sekretarzem narodowego związku nauczycielskiego (*National Union of Teachers*) jest sir F. W. Goldstone. Gdybyśmy poszukali, znaleźlibyśmy i w tej dziedzinie żydów znacznie więcej. Np. stare uniwersytety: *Oxford* i *Cambridge*. Prezesem *Oxford Union* jest Dawid Levis, skarbnikiem Max Beloff, obaj żydzi. Prezesem *Cambridge Union* jest żyd A. Kean. Żydzi w nauce? Wystarczy zajrzeć choćby do spisu członków *Royal Anthropological Society*. Ba! Prezesem badawczej Komisji Walutowej wolnego państwa irlandzkiego jest prof. Gregory czyli Guggenheim. Pod nazwiskiem angielskiem można odkryć wielu żydów.

A co się tyczy „finansów, bankowości, ubezpieczeń, które niemal w stu procentach są jakoby w rękach angielskich", zobaczmy, jak to w istocie wygląda.

Ubezpieczenia? Ano, proszę: prezesem „*Sun*

Insurance Office" jest sir W. H. Goschen, dyrektorem „*Insurance Co*" jest C. E. Hambro.

Przemysł fryzjerski w rękach żydów, przemysł tytuniowy także. Znany magnat tytuniowy — S. Gluckstein. Przemysł restauracyjny przechodzi w ręce żydów. Restauracyjne przedsiębiorstwo Lyonsa (także import herbaty!), coś w rodzaju paryskiego Duvala ma w Londynie przeszło pół tysiąca lokali i zatrudnia przeszło 30,000 kelnerek.

Żydzi usadawiają się także coraz więcej w przemyśle kinematograficznym, także w górnictwie. Sir C. D. Seligman jest członkiem rady doradczej wydziału kredytów eksportowych w Ministerstwie Handlu. Sir H. Strakosch jest ekspertem w licznych państwowych komisjach finansowych, także delegatem do Ligi Narodów; członkiem międzynarodowych konferencyj finansowych jest sir Cecil Kisch, asystent w podsekretariacie dla Indii. Sir L. L. Cohen bankier i makler giełdowy, jest członkiem Brytyjskiego Komitetu Ekonomicznego.

Żydowski bank „*Goschen and Cunlife*" istnieje od 1839 r., dyrektor Ottomańskiego banku sir A. Stern przez swe bardzo ścisłe stosunki z Lloyd Georgem gra rolę polityczną, prezesem „*Morgan Grenfell and Co*" jest Israel Moses Sieff, istotny kierownik tak zw. *planning* czyli PEN, o której mówiło się już wyżej. Sir Otto Niemeyer reprezentuje „*Bank of Internat. Settlements*", bankiem żydowskim jest Henry Schroeder and Co, w Banku Angielskim siedzi mr. E. R. Peacock.

Ale to są szczegóły. Ważniejsze, iż na życie gospodarcze angielskie wpływ ogromny wywiera kapitał żydowski. Wielcy dygnitarze rządowi, wielokrotnie piastujący teki ministerialne, tacy żydzi jak: sir M. Nathan, Herbert Samuel, sir E. Cassel, mr. E. S. Montague, sir E. Goschen, sir A. Mond, Earl Reading, sir Edgar Speyer, sir H. S. Samuel, lord Rotschild, całkowicie zmonopolizowali gospodarstwo angielskie, a więc — finanse, ziemię, złoto, srebro, diamenty, metale, naftę, elektryczność, chemikalia, żywność, przemysł włókienniczo-ubraniowy i t. d. Cukrownictwo zmonopolizowane przez żydów, teraz biorą się do mleczarstwa. W ten sposób produkcja rolna zostanie od nich uzależniona.

Rodzina Sassoonów, ogromnie ustosunkowana, niezmiernie bogata, gra taką rolę w Azji, jak Rotszyldowie w Europie.

Rodzina Isaacsów, wysocy dygnitarze, administrują Tow. Marconiego i w ich rękach jest radio, zainteresowani są w przemyśle chemiczno-włókienniczym i chemicznym. Rufus Isaaks, późniejszy wicekról Indii, odegrał olbrzymią rolę zakulisową w pertraktacjach pokojowych i organizacji Ligi Narodów.

Rodzina Montagu, to wysoka finansjera i nafta (*Shell*, *Anglo-Saxon*, *Royal Duch*, *Mexican Eagle*, *Balaafsche Petroleum Maatschapij*).

Rodzina Mondów, to nikiel i chemikalia. Wpływ na kształtowanie się cen chemikalji na rynku światowym. Zainteresowanie w produkcji węgla, tak potrzebnego przy przemyśle chemicznym. Zainteresowanie w nadreńskim basenie węglowym, także i w polskim przemyśle na Śląsku. Skoligacony z lordem Reading, wicekrólem Indii.

Bankier Edgar Speyer (zarazem banki we Frankfurcie i New-Yorku), ożeniony jest z siostrą Maxa Warburga, głównego przed wojną właściciela „*Hamburg Amerika Line*" i „Lloydu" niemieckiego i stowarzyszonego ze słynnym żydowsko-niemiecko-amerykańskim bankiem „Kuhn, Loeb and Co", finansującym rewolucję rosyjską. Panna Anna Speyer zaś, siostra bankiera londyńskiego, wyszła za mąż za Gwinnera, dyrektora „Deutsche Banku".

A więc co za koneksje finansowe i jakie tajemnice polityczne za kulisami!

A korespondent londyński nie dojrzał żydów wśród finansjery angielskiej.

Intelligence Service? A właśnie koncesje naftowe w Persji zdobył słynny szpieg Reilly, nazywający się właściwie Rosenblum.

Ba, zapomnieliśmy jeszcze o sir Erneście Cassellu. Był on bankierem księcia Walii, późniejszego króla Ewarda VII. Dorobił się na tem znacznego majątku. Zorganizował Towarzystwa kredytowe w Egipcie i w Argentynie, miał olbrzymie wpływy w wielu bankach Europy i Ameryki. Był nietylko przyjacielem księcia Walii, ale i z późniejszym monarchą pozostawał w tak zażyłych stosunkach, iż król Edward VII na jego ręku wyzionął ducha.

Utajona potęga żydów w Anglii wywołuje u naszego korespondenta uśmiech sceptycyzmu. Gdyby jednak zrobił przegląd gości na obiedzie, wydanym przez „*United Jewry Fellowship*" (London, Grossvenor House), może zmieniłby zdanie. Zobaczywszy hr. Wintertorna, lorda Lloyda, Winston Churchilla, Georga Lansbury i t. d. A gdy znów w grudniu 1934 r. czynna Liga eugeniczna (*National Birth Control Association*) wydała obiad w Claridge'u, to widziano na nim następujących żydów lub zjudaizowanych „Anglików": pp. Laski, pp. Woolf, pani Cohen, p. Sacher, p. Marks, no i przedewszystkiem pp. Sieff (patrz jego rola w PEN), o czem mowa w poprzedn. zesz. „Myśli Nar.").

Przecież nad takiemi infiltracjami należy się zastanowić, są to bowiem zjawiska życia towarzyskiego o wybitnem znaczeniu nietylko kulturalnem, ale i społeczno-politycznem. Takie zjawiska rzucają właśnie światło na t. zw. „wpływy utajone". Ale trzeba mieć oczy ku patrzeniu.

Nasz korespondent nie dostrzegł jednak żydów w Anglii, ani ich wpływów, natomiast my sądzimy, że widocznie patrzył przez zbyt różowe okulary.

Nie trzeba przecie być antysemitą, wystarczy tylko trzeźwo patrzeć na życie i rejestrować fakty.

M—i

Administracja „MYŚLI NARODOWEJ" na żądanie wysyła numery bieżące jako okazowe i prosi przyjaciół pisma o dostarczanie odpowiednich adresów. — Adres Administracji: Warszawa, Al. Jerozolimskie 17. Telefon 9.87.90.

POETYCKI POMNIK DOBY JĘDRZEJEWICZÓW

W PISMACH narodowych, zapewne przez zawiść partyjną, przemilczano dotąd wieść o tem, że żyje pisarz o wspaniałem nazwisku Grzegorz de Navarra (czy krewny ś. p. królowej Nawarry?), który od pamiętnego maja 1926 r. poczuwszy nieprzemożone natchnienie wierszopisarskie i nieposkromioną ambicję literacko-naukową, pisuje wciąż na chwałę sanacji i wszystkiego co się z nią wiąże. Jego dorobek twórczy do r. 1935 obejmuje już podobno 60 dzieł (z tego jedno 3-tomowe); ale na tem nie koniec, gdyż „w opracowaniu" już w owym roku były dwa dzieła następne „i wiele innych (nauka, powieść, dramat)".

Wiadomość tę bibliograficzną czerpiemy z wydanego niedawno 200-stronicowego tomu poetyckiego p. Grzegorza de Navarra (Kraków, skład główny Kielce, kolonia-Ogród 30), tomu noszącego dumny tytuł „Z pola chwały". Żeby uczcić 10-lecie twórczości zacnego Grzegorza i pamięć sześćdziesiątego jego dzieła książkowego, zaznajomimy czytelników choćby z najbardziej charakterystycznemi próbami pióra tego sanacyjnego wieszcza.

Z wierszy jego nader wyraziście ukazuje się osoba autora. Jest on, jak widać, nauczycielem gimnazjalnym — i to języka łacińskiego — skoro w dedykacji nazywa siebie wdzięcznym uczniem znanego filologa-klasyka, prof. K. Chylińskiego. Widzimy dalej, że jest, jak przystało na nauczyciela z epoki jędrzejewiczowskiej, wzruszająco czołobitny wobec każdego wizytatora, z jakim się zetknął; nader wymowne peany poświęca aż pięciu kolejno wizytatorom, nie licząc naczelników wydziału i dyrektorów; nie wątpimy, że w innym jakimś tomie wysławił jeszcze innych, a więc Figla, „Sokorskiego", „Drzewieskiego" (O Mandelbaum! o Mandelbaum!), Jadwigę Lechicką (w zbiorku omawianym jest tylko aluzja do niej) i t. d.) Jak to wzniosły wiersz pieje o tych „mężach mądrych, cnotliwych"?

Cni wizytatorzy
smak nieśli niebieski
jak polski kraj Boży...

Dotychchczas znaliśmy tylko k o l o r niebieski, nie smak... Ale była już *audition colorée*, czemużby nie miał być — smak koloryzowany?... A oto ciąg dalszy peanu:

Nauce służyli,
mówili z muzami —
myśmy się dłużyli (?),
byli nam ojcami.

„Wy chorąże!!! (!!) — woła do jednego z nich poeta, szkoda że tak małą dając mu szarżę wojskową... A w wierszu „Do przyjaciół" chcąc wszystkim dygnitarzom „objatę dać" (może obiadek?), takie poświęca im następujące wdzięczne zwrotki:

Starszą braci zorzo (??)
Wy, Wizytatorzy,
witam myślą hożą,
jak ów promień Boży.
zacnych imion głoski
chowam w serca głębi,
ceniliście troski,
jak mej pracy Zręby...

Jeżeli kto dotąd miał wątpliwość, czy pan Grzegorz należy do „Zrębu", będzie mógł się czarno na białem przekonać nietylko z powyższej zwrotki, ale też z wielu innych, w których raz po raz powtarzają się grzmiące „nakazy chwili" ze słownika zrębowo-jędrzejewiczowskiego, owe tępe monosylaby, bez których nie może obejść się dziś żadna „akademia", a więc takie pra-słowiańskie, lechickie, mocne słowa, jak zrąb, zew, siew, znicz, pion, ster, świt, wid, grom, wzlot, młot, dźwig, „granitu stal" (?!), hyr, skwir, zryw (wyraz ten jeszcze przed kilkunastu laty oznaczał tylko... wymioty!) itd. itd. Szczególnie upodobał sobie p. Grzegorz de Navarra wyraz „kloc", też bardzo lechicki, bo pochodzący od... Klotz'a.

A więc czytamy:

Za trudów moc,
za pragnień stos,
zawodów kloc.

W wierszu „Mów do mnie" (jeszcze) słyszymy, że

gaśnie cieni kloc
i wiatry więdną...

Tak klocom bywa! Niech się nie pchają tam gdzie goreje znicz i żar i płomień, gdzie płonie stos, na którym kloce zgorzeć mogą. Albowiem mówi poeta:

Są metody tam na stosie...
Na stos! rzućmy mleczne prątki (?)
Niech pioruny rodzą grządki (?)

I tak jeszcze parę razy: na stos! na stos! Ano trudno: „idą czasy" — wzdycha poeta w innym wierszu.

Szeroka jest skala natchnień pana Grzegorza de Navarra. Są tu więc i sielanki, w których „podmuchuje zefirek" (wspomniany przez poetę 17 razy), a sam Grzegorz, siedząc w chłodzie, gra sobie „na fujarce", by snadź nie zaginęła tradycja fujar ojczystych (wiersz „Na fujarze gram"); kiedyindziej ten tradycjonalista narzeka na panny, co

jeno rwały się do chłopców, do zamążwejścia (*sic!*)
jeno szminki, perfumy, swojskie grymasy
zdobiły paniom serce i mózgu komórki.

To znów, przechodząc w nutę tragiczną, zwierza się:

Miałem sen, —
ciężki grzmot,
czuję woń
trupich rot (?),
trwogi swąd...

To znów nuci posępną balladę o topielcu, co „chwytał się dratwy" (z dwojga złego lepsze to od przysłowiowej brzytwy); to na widok fortepianu chętnie „łzom dałby upust kranu". Ale najważniejsze są wiersze p. Grzegorza nastrojone na nutę aktualną; warto je przytoczyć w dłuższych urywkach.

Pierwszy z nich, pisany 11.IX.1935, tak opisuje „Wybory":

Panie pośle, witam wasze!
po wyborach!... Gładka (tak!) sprawa...
Głosowałem! Pod poddasze
dziś zapraszam.,. skromna kawa...
Pan wyborca w górę rośnie,
bo nadziei spadną rosy;
będą plecy, będą sośnie (?)
pro publico — pod niebiosy! i t. d.

Drugi, z tegoż czasu, ma tytuł „Wódz"; brzmienie następujące:

Swawola! Heca!
Wyścig targu!
Tłum się podnieca,
pełno largu (?)
Wtem Wódz ściągnął brwi,
ścichli szuje..,
Wyścig pracy—brzmi,
On moc kuje!
Zdławił sejmowładztwo
wskazał drogi!
Zamarło partactwo
bo kraj drogi!...
Jeno niezgoda
niszczy moce...
Wielka stąd szkoda:
kraj chromoce.
Bolesław Chrobry
ćwiczył w łaźni,
był przeto dobry,
wielki w jaźni (!!)

I tak dalej... Czytamy i o sypaniu kopca, gdzie

płeć piękna
z mężczyznami
nieulękna (tak!)
mknie z taczkami.

Poco cytować więcej, skoro i na podstawie dotychczasowych przytoczeń można mieć pojęcie o wartości utworów wieszcza sanacyjnego. Że umiano się na nim poznać w najwyższych sferach inteligencji i oceniono jego zasługi, dowodem są słowa, umieszczone na samym froncie tomu pana Grzegorza de Navarra. Cytujemy je dosłownie na wieczną rzeczy pamiątkę:

RECENZJA.

Do autora „Z pola chwały".

Przesłany mi rękopis przeczytałem sumiennie.

Dusza się raduje[1]*), gdy w erze kryzysu myśli wysoko niesiesz drogi Autorze, nieskalany sztandar polskości. Idziesz do Narodu z gorącem sercem i piorunami myśli.*

Recenzje Twego cennego dorobku naukowego i literackiego napisali już inni, jak np. „Pedagog i Obywatel" d-r L. Kam. i Ł. B., „Nowa Gaz Kiel." w nr. z dn. 15.XI.1933, „Stulecie szkolnictwa" 1932 r., W. Wiącek. Ja przeto, życząc Ci, Drogi Autorze, serdecznego przyjęcia „Z pola chwały" przez Rodaków, zachęcam Cię zarazem do dalszej pracy na polu naukowo-literackiem. Tak wszechstronny i bogaty twój dorobek literacki został rozrzucony po dziennikach, tygodnikach itd., pragnę, aby rychło ukazał się zbiór Twych prac w imię ogólnego dobra.

Cześć!

(—) *Świtalski.*

[1]) Odpowiedź na wiersz p. de Navarra „Roześmiała mi się dusza".

Chylimy czoła przed tak wysoką rekomendacją, która — wraz z rekomendacjami innych wyliczonych recenzentów — musiała już zrobić swoje. Wieszcz sanacyjny i piewca „Zrębu", p. Grzegorz de Navarra, powinien już mieć, jeżeli nie złoty order zasługi, to przynajmniej srebrny bobek P.A.L., zwłaszcza, że jednemu z członków P.A.L. złożył hołd wcale wymowny (str. 43):

Nasz drogi Wincenty
Żegna błyskawicę...

I zwłaszcza, że wzbogacił mowę polską mnóstwem wyrazów i zwrotów dotąd nieznanych brzdąki, mrzonk — dopełniacz l. mn. od mrzonka), dręka, bez litu, foszmani, nadziei węda, panduch, wróg chrupi, krasnomówczy, cyniwiator, ród skorupi, jakieś pliko, tubasty, stkana brama, spłodzać, kratel, czachować itd.) Należało go też powołać do komisji ortograficznej, gdzie dowiedzianoby się, że się pisze: bajdużą, pszyszli, hyżo, prządka, urzątek, złóda itd. Słowem:

Szczęśliwy literat—szczęściem swym,
gdy mimo wycia (?) sów, kraku (!) wron,
rozpiął (?) swą lutnię, choć zimna kra
nacierała nań ze wszystkich stron.

Przeto za chlubnym przykładem p. Świtalskiego, Wiącka, dr. L. K. oraz innych wspomnianych w książce osób, wzywamy autora — jego słowami:

Jednak naprzód idź mimo gromu!
Pełen ognia świeć, nie znaj sromu (tak!)
Na pole chwały nieś jestewstwo (tak!)
Po trudach sławy — tam edeństwo! (tak!)

Brawo, Grzegorzu! Niech ci świta — „nadziei węda"!

Z. RĄB.

WAŃKOWICZ O PRUSACH WSCHODNICH

STOSUNEK opinii do Prus Wschodnich nie jest taki, jaki być powinien. Mało znamy ten kraj nie wiąże nas z niem uczucie, nie rozumiemy jego znaczenia politycznego dla spraw Europy wschodniej no i Europy wogóle.

Czytaliśmy o nim wiele w dziejach naszych, posiadamy już kilka dobrych książek informujących nas o Prusach Wschodnich i o zamieszkującej je ludności, wiemy, że wśród tej ludności jest około 300,000 Polaków, zamieszkałych w zwartych skupieniach na Mazurach i na Warmii. Lecz to wszystko nie doprowadziło jeszcze do tego, by przeciętny Polak zrozumiał, jakie znaczenie mają Prusy Wschodnie, by był z niemi związany gorącem uczuciem. Bo to, cośmy się dowiedzieli o tem, będzie przemawiało do naszego rozumu, a — jak się okazuje — przez rozum prowadzi droga trudna i długa do zżycia się z ludźmi i z ziemią.

Znaczenie książki Melchiora Wańkowicza („Na tropach Smętka". Wydawnictwo Biblioteki Polskiej) polega na tem, że autor swój główny atak kieruje na serca swych rodaków. Zwiedził p. Wańkowicz rzeki i jeziora pruskie na kajaku, odbył wycieczki pieszo, koleją i automobilem, a wrażenia i informacje w ten sposób zebrane opisał w formie łatwej, pociągającej, zaciekawiającej, słowem zajmującej i — nie wahamy się użyć tego określenia—pięknej.

Czytelnik prowadzony przez autora, podziwia piękno krajobrazów, interesuje się ludźmi, zapoznaje się ze stosunkami i, niepostrzegając tego, zdobywa cały szereg wiadomości o tem, czem są Prusy Wschodnie, jak tam ludzie żyją i pracują, ilu jest Polaków, jakie mają wierzenia i dążenia, jaki jest do nich stosunek Niemców i rządu niemieckiego, jakie położenie polityczne.

Czytelnik dochodzi do wniosku, że pod panowaniem niemieckiem jest szmat ziemi polskiej, zamieszkały przez ludność rdzennie polską; przekonywa się, że państwo niemieckie prowadzi w dalszym ciągu systematyczną, konsekwentną i wytężoną działalność, zmierzającą do tego, by ludność polską w Prusach Wschodnich wynarodowić i w ten sposób zlikwidować raz na zawsze jej dążenia do zjednoczenia się z państwem polskiem. Przed oczyma czytelnika polskiego otwiera się nowy zgoła świat, dowiaduje się o rżeczach, o których mgliste li tylko miał pojęcie.

To wszystko wszakże, co przemawia do rozumu czytającego książkę Polaka, nie jest główną zasługą Wańkowicza. Zasługą jego i cechą książki, którą napisał, jest to, że umiał trafić nietylko do rozumu, lecz także do serc polskich. Kto przeczytał całą rzecz „Na tropach Smętka", (a wątpimy czy się znalazł taki, co przeczytawszy pierwsze rozdziały, nie doszedł do końca i nie żałował, że to już koniec), ten doszedł napewno do wniosku, że zbogacił swą duszę o jedno jeszcze uczucie — o uczucie miłości do tej krainy jezior, przez którą prowadzi najprostsza droga do Bałtyku, i która tak jest związana z całą przeszłością naszego narodu. A pamiętać trzeba o tem, że dopiero z poznania faktów i z oświetlenia i ogrzania ich uczuciem powstać może pełne zrozumienie politycznego znaczenia, jakie Prusy Królewskie miały w przeszłości, mają dziś i mieć będą w przyszłości dla Polski i dla dziejów Europy wschodniej, a w rezultacie i dla całego naszego kontynentu.

Takie pełne i wszechstronne zrozumienie przez opinię polską zagadnienia Prus Wschodnich jest rzeczą konieczną. Prowadząc do niego, zasłużył się Melchior Wańkowicz dobrze sprawie polskiej.

Dodatkowo, zauważymy, że książka jego zachęci niewątpliwie bardzo wielu Polaków do tego, by, korzystając z czasu wolnego, skierowali swą wędrówkę na północ i czy to koleją, czy pieszo, czy na rowerze, czy też — za przykładem autora omawianej tu książki — na kajaku, odbyli podróż po Prusach Wschodnich. A przecież dopiero ci, co sami zobaczą, poznają, kraj ów jak się należy i zrozumieją...

Na zakończenie tych uwag, mających na celu zachętę do przeczytania książki Wańkowicza, mały przykład jego umiejętności nietylko opisu, lecz oddania wiernie i trafnie wrażenia, jakie nań wywierali ludzie i rzeczy.

Oto gdzieś między jeziorem Nidzkiem a Piszem, nad jeziorem Wiartel zanocował Wańkowicz u sołtysa. z którym — między innemi — gwarzył o polityce.

„Mówi — ów sołtys — że znajome wojoki, co z urlopu z Reichu wracały, opowiadały, co w korridor to im się broń odbiera i drzwi od cugu na fest się zamyka. To oni bardzo sobie tego nie chwalą. „Musita oddać nam ten korridor" — konkluduje stary.

— Nie, nie oddamy—mówię wojowniczo; a jak będzieta leźli, to będziemy robić „krig".!

Przeraziła się na taką groźbę stara Mazurka, żona sołtysowa.

„Zamyślił się poważnie stary... „Pozbadnął" (zmiarkował), że to tak łatwo nie będzie. W głowie coś waży. I trzęsąc starczą głową, zapytuje mnie z powagą:

— Nie oddata korridora?

— Nie oddamy.

— Nie oddata?

— Jakbyście wiedzieli, że nie oddamy.

Waży w sobie coś stary, waży i decyduje się.

— Jak nie oddata, to już chyba bierzta te ostprojsy; bo to tak zewsząd obtoczone, co nijak nie może... A wama to rychtyg pasuje...

Oto, jak potrafi autor „Na tropach Smętka" oddać ton i nastrój rozmowy. Potrafi też ludzi umieścić w krajobrazie, a czytelnikowi dać odczuć tego krajobrazu smętek, wesołość lub prozę.

STANISŁAW KOZICKI

WYDANIE ZBIOROWE DZIEŁ DMOWSKIEGO

Zdawna oczekiwane wydanie zbiorowe pism Romana Dmowskiego stanie się w najbliższym czasie faktem. Podjęła się go Spółka Wydawnicza Antoni Gmachowski w Częstochowie.

Całość obejmuje 9 dużych tomów o następującej treści: tom 1 Życiorys autora i „Myśli nowowoczesnego Polaka"; tom 2 „Niemcy, Rosja i kwestja polska; tom 3 Pisma pomniejsze (okres przedwojenny); tom 4 „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce"; tom 5 „Polityka polska i odbudowanie państwa", cz. I; tom 6 „Polityka polska i odbudowanie państwa" cz. II; tom 7 „Świat powojenny i Polska"; tom 8 „Przewrót"; tom 9 Pisma pomniejsze (okres powojenny).

Wydrukowane zostaną jednocześnie dwa wydania: wydanie A—tańsze w ozdobnej, płóciennej oprawie, w cenie za całość zł. 40.— (wraz z przesyłką); wydanie B — wytworne, na bezdrzewnym papierze i w ozdobnej półskórkowej oprawie, w cenie za całość zł. 80.— (wraz z przesyłką). Cęna: zł. 4.— przy zamówieniu i 12 rat miesięcznych po zł. 3.— za wydanie A, albo zł. 8.— przy zamówieniu i 12 rat miesięcznych po zł. 6. za wydanie B.

W prenumeracie zbiorowej (wysyłka pod jednym adresem po więcej egzemplarzy każdego tomu) wydawnictwo daje darmo każdy siódmy egzemplarz.

Według zapowiedzi wydawnictwa wysyłka pierwszego wydanego tomu rozpocznie się według kolejności zgłoszeń około połowy lutego, poczem co półtora miesiąca będzie rozesłany jeden tom.

Tyle warunki prenumeraty. Ze swej strony wyrażamy przekonanie, że wydanie zbiorowe dzieł Dmowskiego znajdzie licznych nabywców, pism tych bowiem nie powinno zbraknąć w żadnym szczerze polskim domu.

Dla informacji podajemy adres wydawnictwa: Antoni Gmachowski i S-ka, Częstochowa, ul. Dąbrowskiego 59. Konto P. K. O. dla wpłat prenumeraty—nr. 69 230.

NA WIDOWNI

Mit pożyczki zagranicznej. — Bezmyślna lekkomyślność i niedbałe kutwienie. — Smutne dzisiaj, ale lepsze jutro. — W walce wyrobi się typ gospodarczego Polaka.

NIEDAWNO w sejmie ukończono debatę w sprawie nowej pożyczki zagranicznej, jakiej udzielić nam zamierza, na dobrych pewno dla siebie warunkach sprzymierzona Francja. Głos zabierał także i ks. Janusz Radziwiłł, który oświadczył, że rzadko pod którem posunięciem rządu można się z tak czystem sumieniem podpisać jak pod tem właśnie. Może to nawet i słuszne, ale zastrzeżenie budzi we mnie ów kult pożyczki jako panaceum na nasze tak różnorodne dolegliwości gospodarcze, jaki zauważyć można zarówno w prasie, jak i owych debatach.

Psychika przeciętnego obywatela i jego sposób rozumowania w tych sprawach niewątpliwie są wadliwe; nie jest bowiem wcale normalne owo święte przekonanie, że „wprawdzie jest źle, ale niech nam dadzą troszkę pieniędzy, to zaraz będzie lepiej.” To jest zdanie powszechne, to opinja nietylko ulicy, ale wprost całego kraju i smutne rzuca światło na naszą psychikę gospodarczą i inne umiejętności gospodarcze. Warto więc poważnie nad tem pomyśleć, tembardziej że żyjemy w chwili, gdy łącznie z problemem żydowskim zagadnienie budowania naprawdę narodowego gospodarstwa staje się u nas kardynalnem zadaniem pokolenia. Jeśliby usiłowania w tej mierze zawieść miały, to nie ma co i mówić o Wielkiej Polsce. Wielka Polska, to Polska bez żydów i będąca panią we własnym domu; mocarstwo, ekspansje, to dopiero dalsze rzeczy, które same przyjdą, jeśli tylko fundamenty rzetelne będą położone.

A fundamenty to — gospodarka. *Primum vivere, deinde philosophari.* Do niej więc zabrać się trzeba, a pożyczenie nawet na najdogodniejszych warunkach jakiejś sumy zagranicą nie jest tu wcale najszlachetniejszym wyczynem i tego powinniśmy się przedewszystkiem nauczyć.

Człowiek z ulicy, a niestety także i nie z ulicy, zdaje sobie sobie wprawdzie sprawę, że jak nie ma pieniędzy to jest źle i że coś tu trzeba robić, ale najwłaściwszem wydaje mu się ich pożyczenie. A tymczasem pożyczka nie jest aktem twórczym i w istocie pieniędzy jak nie było, tak niema. Są one tylko narazie, ale jak przychodzi termin płacenia, wtedy dopiero zaczyna się lament to miraże prysły. Cała też historia powtarza się od nowa i jako ratunek najchętniej szuka się nowej pożyczki, w rezultacie zjadając majątek. Smutny to przejaw narodowego charakteru, aż zanadto przypominający nam tych licznych niestety ziemian, co tak sobie właśnie radzili z trudnościami gospodarczemi, wpychając się w coraz większą biedę, by w końcu sprzedając, czy parcelując dwory swoje opuścić. Dziś nowe państwo, a także i społeczeństwo gospodaruje podobnie, to też nie widać większej poprawy.

To jedna strona nowej gospodarczej psychiki: lekkomyślność granicząca z bezmyślnością; ona wprawdzie dominuje, ale psychiki naszej ekonomii nie wyczerpuje, jest jeszcze jej druga odmiana. I o ile pierwszą wyrażały od czasów stanisławowskich przedewszystkiem „peruki” to drugiej hołdowały sarmackie „wąsy.”

Na pierwszy rzut oka lepsza, ale w istocie swojej taksamo nie nazbyt warta. Powiada: jeśli pieniędzy nie ma, to trudno, trzeba się jakoś ścieśnić i na tem koniec. Nie jest to właściwie ogromna gospodarcza cnota oszczędności, ale raczej leniwe kutwienie połączone z biernem poddaniem się losowi. Znany nam dobrze sarmacki typ Polonusa, który pomnażał majątek tylko tem, że nie wykorzystał w pełni jego możliwości, składał poprostu pieniądze do skrzynki i pilnował, żeby samo rosło. Sam też raczej wegetował. Przydałby nam się dzisiaj może bardziej taki zrzędowaty kutwa, niż przemiły lekkoduch, ale stanowczo nie tu leży rozwiązanie sprawy.

Jeśli bowiem pieniędzy nie ma, to trzeba je zrobić, a drogą do tego nie tylko jest śmiałość, czy oszczędność, ale przedewszystkiem praca i jeszcze bardziej wysiłek. Żadna chyba dziedzina życia tak nie znosi improwizacji, jak gospodarka. Nie wiele można w niej improwizacją zrobić, a jeszcze mniej utrzymać. Ciągłość wysiłku to najcenniejszy w niej walor, a ciągłość to staranność tak obca naszemu niedbalstwu.

Jesteśmy bowiem niewątpliwie niedbalcami i to niezależnie od jednego z dwóch typów do jakiego należymy. Całego szeregu rzeczy „robić nie warto”, tysiące ich się „nie opłaca”, a drobiazgi wogóle się „nie liczą.” Niech mnie Bóg strzeże od pedanterii, ale ręce łamać można nad naszem niedbalstwem tak przedziwnie przystającem równocześnie do lekkomyślności i do zaciskania pasa. Oszczędność nasza aż zanadto często przybiera zgubną postać zaniedbywania: — nie naprawiać, nie ulepszać, bo to wydatki; ileż romantycznych ruin Polska nie żadnym szwedom, turkom zawdzięcza, tylko temu właśnie opacznemu rozumowaniu.

A nad całym owym splotem tych tak bardzo wątpliwych zalet unosi się ich ideologiczne ukoronowanie, sławne „jakoś to będzie”, pojęte wcale nie jako rozumna wiara w opiekę Opatrzności Bożej, ale jako bezmyślna ufność, że się jakoś wykręcę i przedewszystkiem niechęć do wysiłku, chociażby tylko spojrzenia w przyszłość.

Szukając drogi wyjścia, robi się często u nas reklamę owej staropolskiej zabiegliwości i owemu zaciskaniu, a nie popuszczaniu pasa. Przyznam się, że nie lubię tego typu i nie widzę w nim nic sobie bliskiego, ani wogóle nic bardzo dodatniego. To nie jest typ twórczy, a o taki przecież nam chodzi. Ale rzeczywiście w dzisiejszej sytuacji może najlepiej taki właśnie typ wziąść za rodzaj dziczki, żeby na niej szczepić prawdziwie gospodarcze zalety — wytrwałość, rzutkość i staranność. Tem bardziej to chyba wskazane, że chłop nasz w swojej masie tak właśnie gospodaruje i żyje.

Ale nie jest to wcale ideałem i gdyby takie apostolstwo się przyjęło dalecy bylibyśmy od prężności i rozrostu. Lubimy aż zbyt ufnie wierzyć, że „zbawienie leży pod siermięgą”, ale na niesłychaną bierność wsi stale narzekać musimy.

„Nasz naród jak lawa...” i z tym, chyba musimy się pogodzić, wieś tu napewno nie wiele odmieni. Dobrze przynajmniej, że mnożą się Przytyki, czy Przybyszewy — oby ośmieszone Kiernozie i Pacanowy zdobyły sobie podobne laury.

Nie chciałbym jednak, by to wszystko, co napisałem, posłużyło za miły żydowski argument — zasadniczej niezdolności Polaków do handlu. To są bzdury. Zresztą dyskusji tu nie ma, bo wolimy, a i musimy, sami, chociażby i źle handlować, niż

wyręczać się tu chociażby najbardziej uzdolnionymi żydami. Ich nieproszonej pomocy, sobie poprostu nie życzymy. Zresztą w naszej historji mamy przykłady i formowania się całkiem normalnej psychiki gospodarczej, chociażby czasy Stanisławowskie, a potem Księstwo i Królestwo, — nim era paskiewiczowska sarmtyzm odgrzebała, a pozytywizm dał miejsce, niestety nie Polakom, a Blochom, Epsteinom czy Kronenbergom.

Zresztą wieleby można mówić. Chociażby, co właściwie jest prawdziwie polskim charakterem? Czy rzeczywiście owe saskie sarmatyzmy, które z tą marką do nas przeszły. Czy to raczej nie nalot wschodu? Bardzo ciekawe kwestje i wskazujące drogę pełną nadziei na przyszłość; ale to całe kopalnie tematów, których nie sposób tu poruszać.

A konkluzje? — Że dzisiejsze nasze gospodarstwo jest wprawdzie ciężko chore, ale że przyszłość do nas należy i od nas zależy. Że zapowiada się nawet nie źle, bo nic tak nie hartuje jak walka. Walka z żydem o stragan, walka o pełnię życia narodowego wykształci nam typ i wytrwały i czujny. Improwizacja, pospolite ruszenie może ją tylko zacząć, ale skończyć i to skończyć pomyślnie, tylko rzetelny i ciągły wysiłek narodu. Do tego wysiłku wszystko nas zmusza, jego potrzebę coraz bardziej się rozumie. A więc w trudzie budowania gospodarstwa narodowego — uczy się sam jego budowniczy — naród, a wytwarza i doskonali, to czego jeszcze nie było — typ gospodarnego Polaka.

KAROL STEFAN FRYCZ

NAUKA i LITERATURA

NOWA KSIĄŻKA PROF. RYBARSKIEGO

Zapowiedziana i powszechnie oczekiwana publikacja profesora Romana Rybarskiego „Program gospodarczy" wyszła już z pod prasy. Czytelnikom „Myśli Narodowej" znane są poszczególne rozdziały tej pracy, ale dopiero w całości przedstawia ona nieoszacowaną wartość jako książka o głębokich podstawach naukowych i jako wskazanie dla polskiej polityki gospodarczej.

Słabym punktem w naszej umysłowości była dotąd niedostatecznie uporządkowana świadomość gospodarcza. Dla tego książka prof. Rybarskiego pożyteczna będzie nietylko dla czynników odpowiedzialnych za gospodarkę publiczną, ale dla wszystkich, którzy pragną osiągnąć europejski poziom oświecenia.

Książka (160 str.) kosztuje w handlu tylko 4 zł. Jest do nabycia w administracji naszego pisma i we wszystkich księgarniach.

CO TO JEST WARTOŚĆ?

W DZISIEJSZEJ przełomowej epoce, kiedy modne są wszelkie rewizje i kiedy radzi szukamy nowości, albo wracamy do czegoś bardzo starego — powszechne jest też narzekanie na klasyczną szkołę ekonomii, a zwłaszcza na jej teoretyków. Przeciwko temu ruchowi zasadniczo nic mieć nie można, byleby tylko ciskając gromy na oficjalną naukę nie dyskredytował tej gałęzi wiedzy jako nauki wogóle, co bardzo często a zupełnie bezpodstawnie ma miejsce. Każda natomiast praca, która usiłuje zamiast zwalczonej teorii dać nową, jest z natury rzeczy cennym do rozwoju nauki ekonomicznej przyczynkiem.

Taki właśnie charakter posiada praca p. Zygmunta Drzewicy Wasilewskiego p. t. „Co to jest wartość?" wydana w Stryju z zasiłku B. G. K. Miejsce wydania trochę dziwne tłumaczy w obszernej przedmowie autor. Tłumaczy też, że praca ta stanowi właściwie tylko cząstkę większej całości, już oddawna gotowej, ale daremnie czekającej ukazania się w druku. Przeczytanie tej pierwszej części przekonuje, że trzy następne powinny jaknajszybciej się ukazać, i że ta żmudna, a niestety i bardzo żmudnie napisana praca stanowi prawdziwy dorobek nauki polskiej.

Wychodząc bowiem z założenia, że dotychczasowy system ekonomii jest błędny i w swoich rozumowaniach opiera się na założeniach nieprawdziwych, a także stoi w niedopuszczalnym zatargu z etyką — autor na jego miejsce chce wypracować nowy, nie posługujący się błędami i opierający o etykę. Niewłaściwie użyłem tu wyrażenia „chce", bo właściwie praca ta jest już zrobiona i zrobiona w każdym razie rzetelnie. System ten bardzo polski ze swego ducha, nazwałbym systemem idealistycznym, jako, że odrzuca wszelki materializm i relatywizm dążąc uparcie do absolutu.

W dziedzinie publikacyj ekonomicznych ogromną popularność zyskała sobie ostatnio interesująca praca inż. Doboszyńskiego o „Gospodarce narodowej". „Co to jest wartość?" i następne jej tomy napewno nie uzyskają ani tej poczytności, ani tego rozgłosu. Są na to za mądre i zbyt ciężko napisane, tak że z prawdziwym trudem się je czyta, ale uważam, że każdy kto się interesuje problemem nowej teorii ekonomii, jakiejś nowej tu szkoły raczej pracę Wasilewskiego powinien wziąć do ręki, jak bądź co bądź mimo wszystkie swoje nieprzeciętne zalety, dyletanckie studium Doboszyńskiego.

Wogóle bowiem trzeba zaznaczyć, że owe głośne nawoływanie do rewizji — czy tu, czy w historji, za mało są poparte rzetelnym trudem naukowym i zbyt pochopnie wyradzają się w jakąś ofensywę na „dlubaczy", którzy jednakowoż są konieczni i robią czarną robotę za pięknoduchów. Z tych wszystkich względów samo ukazanie się pracy p. Wasilewskiego stanowi bardzo korzystne zjawisko.

K. S. F.

DROGI NIEUNIKNIONE

PIERWSZA nowela Jerzego Andrzejewskiego z trzech zawartych w zbiorku[1]) zaczyna się od opisu stanu psychicznego człowieka, który obudzony w nocy powoli odzyskuje świadomość obciążoną jeszcze halucynacjami przykrego snu. Sen jest pełen przykrych reminiscencyj trudności życiowych pod których brzemieniem bohater noweli się ugina i ostateczne otrząśnięcie od zmory, umiejscowienie się z powrotem w rzeczywistości przez dotknięcie miękkiej kołdry, przynosi ulgę. Nie na długo jednak: udręki senne zmieniają się w udręki rozmyślań bezsenności, a chrapanie żony wśród ciemności doprowadza nerwy do najwyższego napięcia.

Opis, mimo wyraźnych reminiscencyj Boguszewskiej i Kornackiego, ma swą własną autentyczność, jest niewątpliwie wynikiem przeżycia artystycznego, bardzo subtelnej wrażliwości, dobrej analizy psychologicznej. Nowy talent.

Ale w dalszych nowelach koszmary powracają znowu. Kłębią się we wstrętnym pokoju wdowy Grzędziakowej, odnajmowanym wykolejeńcom-bezrobotnym. Przesuwają się zmieszane, rwane, natłoczone w sanatorium gruźliczem w Zakopanem. Nastrój, który Andrzejewski umie wywoływać, w końcu książki robi już wrażenie obsesji. W końcu dochodzimy do ostatnich słów tomiku: „Nastała noc wroga i nieprzenikniona, ciężką obręczą zacieśniała świat od wszystkich stron. A w środku, w ogromnej otchłani, wirował i huczał biały lej. Szedł stamtąd zły podmuch. Przytłaczał, gniótł

[1]) Jerzy Andrzejewski: „Drogi nieuniknione". Warszawa 1936. Biblioteki „Prosto z mostu", tom II. Str. 187

ku ziemi. Brakowało tchu". I wiemy już, że to jest obraz świata, jaki młody pisarz (Andrzejewski ma lat 27) nosi w duszy. Ciemność, pustka, beznadziejność, straszliwe zamknięcie w kręgu nędzy, miażdżącym powoli i nieodwołalnie. Boć przecie to mają być „drogi nieuniknione".

Młody autor debiutujący, autor zajmujący się przytem od szeregu lat krytyką literacką, musi mieć mistrzów i wzory, musi ulegać wpływom choćby miał talent najoryginalniejszy. Jacyż są ci mistrze? Odrazu nasuwa się szereg długi— a więc twórczość Andrzejewskiego nie jest odbiciem, cieniem jakiejś jednej indywidualności artystycznej: obiaw bardzo dodatni.

Nałkowska, Boguszewska i Kornacki, oczywiście Choromański—mistrz nastroju, a dalej Conrad. Ci przychodzą na myśl odrazu w trakcie czytania, a gdy spojrzymy na atmosferę moralną całości narzuca się oczywiście Mauriac. On to zaciążyć musiał swą swą chorobliwie ponurą wizją świata na wyobraźni artysty, szukającego wyrazu dla własnej wrażliwości, głęboko odczuwającej otaczające go życie. Nędzę, bezrobocie, głód wyzierający z każdej stronicy gazety, z każdegó rogu ulicy. Młody artysta chodził sam ze swymi ulubionymi książkami—a wybór ich nie był wcale najgorszy — i rozglądał się bacznie dookoła. Te tylko miał założenia: subtelną wrażliwość artystyczną mocno reagującą na niedolę ludzką, tembardziej że Conrad nauczył go tragicznego spojrzenia na świat. Jako jedyną podporę miał w tej wędrówce wyraźne poczucie moralne, które jest widoczne w każdej noweli. Wiedział dobrze, co jest złe, i obraz zła i brzydoty tem wyraźniej się narzucał.

Brak natomiast było Andrzejewskiemu mocnego punktu oparcia w jakimś skończonym, czy przynajmniej w zrębach wyraźnie określonym światopoglądzie, któryby mu pozwolił na spojrzenie bardziej perspektywiczne, a więc i głębsze. Nie można bowiem znaleźć założenia, że wszystko jest złe, że świat jest bez sensu, lub umyślnie fałszywie skonstruowany, tego założenia tak często spotykanego w nowoczesnej literaturze czasów zwątpienia, krytycyzmu i goryczy. Na to owo zło jest zbyt mało określone, nieskrystalizowane. Obraz jest mglisty i skłębiony, jak owe wizje bohatera noweli, przechodzącego ze stanu podświadomości do świadomości. Taki też stan podejrzewamy u autora. Patrząc na człowieka reaguje tem, co najwrażliwsze: uczuciem litości. Brak mu jednak tego spokoju, jaki daje wiara w człowieka— spokoju, który pozwala wniknąć tak głęboko w jego duszę, jak wniknął Conrad przeciwstawiający dobro w człowieku złośliwości przeznaczenia. Drogi nieuniknione — a więc i tu przeznaczenie, które mści się na ludziach zbyt słabych i głupich, aby pojąć co czynią, aby zrozumieć jakiś inny sens istnienia poza sensem potrzeb dnia dzisiejszego. Ale czy te drogi są naprawdę nieuniknione. Nie możemy w to uwierzyć—nie jesteśmy przekonani. Brak owej nieubłaganej, choć niezrozumiałej często logiki, z jaką działa przeznaczenie. Bo logika, konsekwencja wynikać może tylko ze skończonej konstrukcji. Andrzejewski zaś nie zdołał jej dostatecznie w swej świadomości artystycznej skrystalizować.

Wszystko to nie jest straszne, gdy piszemy o debiucie. Najważniejsze są w tym wypadku ziarna, które mogą w przyszłości owocować. A tych jest dużo. Zróbmy jeszcze raz przegląd: wrażliwość prawdziwa, inteligencja, kultura niezaprzeczona, tak rzadkie w obecnych czasach spojrzenie tragiczne, nie poprzestające na zewnętrznym opisie rzeczywistości, ale sięgające wgłąb; bystra analiza psychologiczna. I jedno, może najważniejsze: bardzo mało jak na nasze czasy owego straszliwego snobizmu, który zabija największe talenty. Andrzejewski nie należy do uprzywilejowanej kliki literackiej obiecujących młodzieńców i mniej jest skłonny ulegać katastrofalnej atmosferze zakłamania, jaką oni wytwarzają. A stąd ma zupełnie inne szanse rozwojowe.

FR. ORZ.

ZE ŚWIATA SZTUKI

DRUGA MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA DRZEWORYTÓW

JEST trochę przesady w słowach przedmowy do katalogu II-ej międzynarodowej wystawy drzeworytów w Warszawie, że daje ona „najpełniejszy i przez to najwierniejszy obraz ogólno-światowej produkcji drzeworytniczej". Jeśli np. młody kraj, Bułgaria, przedstawia nam na tym pokazie 6-ciu swych artystów, skłonni jesteśmy mniemać, iż cyfra ta nie odbiega zbyt daleko od prawdziwego stanu rzeczy. Natomiat bez sprawdzania każdy się chyba domyśla, że Holandia ma więcej niż 2 drzeworytników. Zapewne i w Belgii ogólna liczba grafików przekracza 9-kę. Taksamo w Jugosławii poświęca się drzeworytowi nietylko 2-ch artystów. Francja, choć nie ubogo reprezentowana, już drugi raz nie daje prawdziwego obrazu swojej twórczości drzeworytniczej. Drzeworyt książkowy, zawierający nieraz najciekawsze przykłady współczesnej francuskiej ksylografii, ma na wystawie jednego przedstawiciela... Rosjanina.

Drugiem „ale", skierowanem pod adresem jury wystawy, jest kwestja minimum poziomu artystycznego. Jury, nie bez słuszności, bardzo surowe w dziale polskim, okazało niewskazaną całkiem pobłażliwość w wielu innych działach. Tak np. zezwolono artystom austryjackim na pokazanie jakichś okropnych kolorowych „landszaftów", czego można było uniknąć bez najmniejszego uszczerbku dla dość zasobnego działu Austrii.

Te, lub inne usterki i niedopatrzenia nie przekreślają oczywiście doniosłego znaczenia kulturalnego podobnych wystaw. Publiczność polska ma niecodzienną okazję zapoznania się — bez najmniejszej ze swej strony fatygi — ze znakomitą nieraz twórczością graficzną innych narodów. Niepotrzeba dodawać, jak bardzo atrakcyjny i pouczający jest taki pokaz dla naszych grafików i tu przytoczymy słowa przedmowy do katalogu: „Zestawienie sztuki polskiej z obcą, sama możność dokonania takich porównań — ma znaczenie bardzo wielkie dla zdobycia właściwej oceny twórczości rodzimej"... Nie możemy również zapominać o znaczeniu dla Polski i roli propagandowej podobnych międzynarodowych wystaw nazewnątrz kraju, a także znaczeniu ich dla szerzenia miłośnictwa grafiki wśród naszego społeczeństwa, co w ostatecznym swym rezultacie stanie się korzystnem dla polskich drzeworytników i rozwoju kultury drzeworytniczej u nas.

Już z drugiej takiej wystawy widać, jak one się wzajem uzupełniają, pogłębiając naszą znajomość grafiki. Wprawdzie niema teraz Rosjan, których poznaliśmy dobrze na pierwszym pokazie, ale zato Wielka Brytania, która poprzednio przysłała swój bilet wizytowy, w postaci dzieł jednej tylko artystki, teraz wystawiła szereg nadzwyczaj interesujących drzeworytów, będących prawdziwą ozdobą wystawy. Także wystawa, II-ga skolei pozwala nam ugruntować należycie niektóre powzięte uprzednio opinje. Dotyczy to zwłaszcza działu Italii. Dwukrotnie obesłany nader obficie, posiadał zasadnicze cechy podobne, możemy więc uważać, że sąd nasz, urobiony na podstawie powyższego materiału, niedaleki jest prawdy.

Starając się o wyłowienie przedewszystkiem cech najbardziej charakterystycznych, z tej całej

masy zebranych w IPSie rycin (596 prac 23 narodów), dostrzeżemy coraz wyraźniejszy zwrot ku technice drobiazgowej i finezyjnej, wyszukanej w efektach cięcia i faktury drzeworytniczej. Artyści—drzeworytnicy, początku XX-go wieku, zbyt dobrze jeszcze pamiętali drzeworyt reprodukcyjny, drugiej połowy poprzedniego, XIX-go, stulecia, precyzyjny, bardzo zawiły i trudny technicznie, nieraz oschły. Toteż w drzeworycie artystycznym pragnęli mu się przeciwstawić, rozwiązując podjęte zadania ksylograficzne zdecydowanem, szerokiem i energicznem cięciem, kontrastowemi zestawieniami zupełnie czarnych i białych plam i wielkich płaszczyzn. Współczesnemu drzeworytnikowi to nie wystarcza; umie on posłużyć się dawną, konserwatywną techniką, używając jej w zgoła nieoczekiwanych, nowych i świeżych zestawieniach, tnąc drobiazgowo i precyzyjnie, potrafi jednocześnie dawkować efekty w sposób zupełnie inny, odpowiadający upodobaniom nowoczesnym. Dawniejsze epoki wydały szereg wielkich indywidualności graficznych, lecz nigdy może drzeworyt nie był tak różnorodny i bogaty w rozliczne środki wypowiedzi, jak dziś. Drzeworytnik współczesny ma do dyspozycji cały dorobek przeszłości i korzysta też z pełnej, czarno-białej klawiatury sposobów drzeworytniczych.

Na czoło wystawy wysuwają się ryciny Anglji, Ameryki (U. S. A.), Estonji i Polski. Mamy i u nas wybornych mistrzów rylca, lecz to co pokazała Anglja i Stany Zjednoczone, to prawdziwa „wyższa szkoła jazdy". Mistrzostwo techniczne cechuje artystów obu tych krajów, pozatem niepodobnych do siebie w swoich drzeworytniczych wizjach rzeczywistości widzialnej. Ryciny angielskie, bardziej od amerykańskich jednolite w typie, cechuje wyraźna dekoracyjna zdobniczość; graficy angielscy dzielą płaszczyzny drzeworytów na szereg poszczególnych pól, zróżniczkowanych sposobami cięcia. Niema w tem właściwego ornamentu, jest tylko ornamentyka cięcia. Widzimy zdecydowaną skłonność do efektów fakturalnych, nikłe tendencje do uplastycznienia bryły, silnie znaczonego światłocienia; drzeworyt — choć nie usuwa perspektywy — jest raczej płaski, jak dywan. Przy obfitości pomysłów cięcia i faktury, rozgardjaszu ani śladu — wszystko uporządkowane i schludne tkwi, w swoich parcelkach, tchnie ładem i dyscypliną i przypomina starannie pielęgnowane grządki, w dobrze uprawnym ogródku. Staranność, doprowadzona do niesłychanej finezji, przestaje już być oschłością i nabiera jakiegoś nowego wyrazu. Jest w tej precyzji niezłomna konsekwencja.

Wyróżniają się w dziale angielskim: John Buckland Wright, Eric Gill, Gerlinde Hermes (N. 554), Clare Leington (N. 559), Jain Macnab, Clifford Webb.

W dziale amerykańskim, mniej jednolitym od angielskiego, można z grubsza podzielić artystów na dwa ugrupowania. Przedstawiciele pierwszego poprzestają na dość bezpretensjonalnem, zgoła naturalistycznem i staroświeckiem ujmowaniu rzeczywistości, cały nacisk kładąc na technikę, bardzo finezyjną i pełną smaku. Do nich zaliczyłbym A. Cheffetz'a (N. 443) i Tomasza Nasone'a. Drudzy — w nowej, nie podejmowanej dotychczas, tematyce szukają nowego wyrazu (Paul Landacre, Angelo Pinto). Są tu również konserwatywni realiści (Leo Meissner) i zwolennicy drzeworytu fakturowego (Wanda Gág).

Do państw, przodujących na wystawie zaliczyliśmy również Estonję. Ściślej mówiąc nie jest to jeszcze grafika estońska, lecz trzej estońscy, wyborni graficy: Arkadio Laigo, Hando Mugesta i Edonard Wiiralt, zamieszkały stale w Paryżu."

Drzeworyty Laigo cechuje żywa i giętka kreska, dzięki czemu, przy technice względnie prostej, uzyskujemy jednak wrażenie ruchliwości bogactwa graficznego. W formowaniu kształtu, zwartem i tęgiem, znać naukę kubizmu.

Mały drzeworyt Mugasto jest prawdziwym klejnocikiem graficznym. Prozaiczny temat podwórza fabrycznego z cysternami rozwiązał estoński artysta z niezwykłą chciałoby się powiedzieć — malowniczością graficzną. Przy całej swej precyzji cięcia jest to rzecz żywa, subtelna. pełna wdzięku i smaku.

Wiiralt ma technikę własną, odrębną, chętnie używa efektu punktowania i raczej tym sposobem, a nie kreską, uplastycznia kształt.

Dalszy ciąg wystawy omówimy następnym razem, prawem gościnności pozostawiając sobie miejsce na końcu.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

„WESELE FIGARA" W TEATRZE POLSKIM

BARDZO nie lubię koncepcji inscenizatorskich sprzecznych z intencjami autorskiemi. Beaumarchais, pisząc swoje „Wesele Figara", nie zamierzał bynajmniej pokazywać na scenie marionetek, laleczek jasełkowych, figurynek z serwskiej porcelany, czy też kukiełek z piernika, lecz ludzi żywych. Dalekie są powołane przez niego do życia postacie komediowe od naturalizmu, nie wykraczają poza granicę konwenansów teatralnych, obowiązujących paryskiego komediopisarza na schyłku wieku XVIII, ale nie podobna nie liczyć się z ich autentyczną ludzkością, krzepkością, jurnością, bynajmniej nie pozbawioną realizmu. Figaro to człowiek z krwi i kości, obdarzony przez autora wybitną indywidualnością, nie zaś jakiś szablonowy pajac, pierrot czy arlekin, aczkolwiek niewątpliwie dalecy przodkowie jego literaccy byli arlekinami, czy pajacami.

Inscenizatorowie „Wesela Figara", mam wrażenie, niedowierzali żywotności tego utworu. Sądzili widocznie, że sztuka owa wystawiona poprostu tak, jak ją sobie wykoncypował autor i jak ją grywano za jego czasów w Paryżu, znudziłaby dzisiejszą publiczność warszawską. Uważali, zdaje się, że postacie Beaumarchais'ego są zbyt naiwne, żeby udawały z powodzeniem ludzi żywych, że, jak na ludzi żywych są za mało naturalne, za sztuczne, za konwencjonalne. Postanowili tedy sztukę wzbogacić nowym elementem poetyckim. Ubajczyli, ufantastycznili to widowisko koncepcją zapożyczoną z andersenowskiej opowiastki.

Zadekretowali, że będzie daleko ładniej i daleko bardziej interesująco, jeśli aktorzy grający Figara, Almawiwę, Rozynę, Cherubina, Zuzannę *et caetera* naśladować będą nie ludzi żywych, lecz stylowe, rokokowe, porcelanowe saskie czy sewrskie laleczki. Spodziewali się zapewne, iż widzowie łatwiej wybaczą konwencjonalność rzekomą utworu, skoro się okaże, że — jak na figurynki porcelanowe — postacie z „Wesela Figara" posiadają fenomenalnie dużo wigoru życiowego.

Ten inscenizacyjny koncept nie był ani nowy, ani oryginalny. Nie dawniej, jak podczas świąt Bożego Naro-

dzenia, krakowski Teatr Wyobraźni nadawał przez radio na całą Polskę słuchowisko p. t. „Krakowiacy i Górale". „Inscenizatorem" owego słuchowiska był Zygmunt Nowakowski. Pełnił on również funkcje radio-reżysera i *conferenciera*. Otóż w doskonale napisanym przez siebie i wybornie wygłoszonym prologu kazał on słuchaczom, żeby sobie wyobrazili przed, że się tak wyrażę, „oczyma wyobraźni" nie żywych, prawdziwych krakowiaków i górali, ani też nie aktorów za krakowiaków i górali poprzebieranych, lecz jasełkowe kukiełki w wielobarwnych, jaskrawych ludowych strojach, ożywione czarodziejstwem sztuki, wyskakujące z malowanej chłopskiej skrzyni i operę narodową odśpiewujące.

Pomysł Nowakowskiego był doskonały. „Zobaczyć oczyma wyobraźni" żywą lalkę w teatrze radiowym jest bardzo łatwo. Bez najmniejszego trudu można pogodzić się na czas trwania widowiska z jej istnieniem. „Krakowiacy i górale" zresztą, przy wszystkich zaletach tego dzieła, pod względem żywotności figur ani się umywają do „Wesela Figara". Mają w sobie bez porównania, ale to bez żadnego porównania więcej marjonetkowości. Nasza opera narodowa zyskała na ubajczeniu w krakowskim teatrze radiowym. „Wesele Figara" niestety w warszawskim teatrze Polskim na ufantastycznieniu nic nie zyskało.

Koncepcja inscenizatorska została zrealizowana bardzo nieszczęśliwie. Zamiast przeistoczyć scenę w szklaną gablotkę z biskwitowemi bibelotami i porcelankami serwskiemi, przeistoczono ją mimowoli w wystawowe okno pierwszorzędnej prowincjonalnej lub drugorzędnej warszawskiej cukierni.

Dekoracja pana Śliwińskiego sprawiała wrażenie olbrzymiego tortu z lukrowemi pseudorokokowemi ozdóbkami, ustawionego na ruchomej, kręcącej się w kółko przy pomocy napędu elektrycznego, paterze. Widok podobnych lukrowych konstrukcji cukierniczo-architektonicznych w szczególnie umiłowanym przez naszych cukierników i czekoladziarzy stylu *Louis Quinze, der Fünfzehnte*, budzi we mnie rownocześnie rzewne wspomnienia dzieciństwa i uczucie wstrętu. Ilekroć coś podobnego zobaczę za szybą sklepową mam ochotę płakać i... jechać do Rygi. Otóż wspomnienie owego obrzydliwego uczucia, którego doświadczałem tylekroć na ulicy, prześladowało mnie przez cały czas spektaklu w teatrze Polskim, pomimo że lukrowa dekoracja p. Śliwińskiego wyglądała wcale apetycznie, nie zdążyła jeszcze bowiem ulec zakurzeniu i upstrzeniu przez muchy.

Na takiem tle aktorzy nie sprawiali oczywiście wrażenia powiększonych do rozmiarów olbrzymich i ożywionych czarodziejstwem sztuki porcelanowych laleczek, iecz raczej robili wrażenie ludzików piernikowych i kukiełek marcepanowych.

Stosunkowo najsmaczniej wyglądała panna Romanówna w roli Zuzanny. Miała niezbędny do tej roli wdzięk, zalotność, fertyczność, temperament. Natomiast inne role zostały obsadzone bardzo niewłaściwie. Węgierko, jako Figaro był nieznośny. Rozwrzeszczany, gestykulujący wiatrakowato, ale w gruncie rzeczy zimny, cyniczny demagog, agitator wiecowy, technik — specjalista od podburzania tłumów. Nie był ani bodaj odrobinę owym czarownym uwodzicielem, jakim Figaro być musi, jeśli ma nas wzruszać i przekonywać Nieszczególnie również wypadła ryzykowne próba powierzenia roli Almawiwy panu Chodeckiemu. Nie robił w tej roli zgoła wrażenia wielkiego pana. Brakowało mu wytworności i elegancji. Cherubin panny Wasiutyńskiej był równocześnie za sztywny i za ckliwy. Panna Lindorfówna rolę Rozyny mocno przesłodziła. Zelwerowicz znowu grubo szarżował.

„Wesele Figara", jak powszechnie wiadomo, napisane zostało na kilka lat przed wybuchem Wielkiej Rewolucji francuskiej. Przyczyniło się podobno w znacznym nawet stopniu do wzmożenia nastrojów rewolucyjnych, w każdym razie zaś było pełnym wdzięku i dowcipu nastrojów owych literackim wyrazem.

Z tego powodu sztuka Beaumarchais'go jest zabytkiem piśmiennictwa osobliwie drogim sercu lewicowców, liberałów, demokratów, obrońców „praw człowieka" jednem słowem — farmazonów, że pozwolimy sobie na uproszczenie w stylu O. Pirożyńskiego. Przedstawienie w teatrze Polskim nie miało. bynajmniej charakteru politycznie-retrospektywnego. Pan Węgierko zrobił co tylko mógł, żeby ze sztuki tej zrobić utwór politycznie żywy. Starał się z całych sił naciągać tekst z przed półtora wieku do potrzeb aktualnej demagogii. W rezultacie tworzył mimowoli satyrę na satyrę, karykaturę karykatury. Analogie między stosunkami społecznemi na schyłku wieku XVII i dzisiejszemi zbyt są dalekie, żeby zagadnienia socjalne dotykane przez Baumarchais'go mogły kogokolwiek wzruszać głębiej, natomiast analogie między ówczesnemi a dzisiejszemi metodami administracyjnemi i stosunkami w sądownictwie, stwierdzane były przez publiczność gromkiemi wybuchami oklasków.

S. J. G.

FILM

PAN: „Papa się żeni" i CAPITOL: „30 karatów szczęścia", reż. M. Waszyński.

Omawiam oba te filmy razem, gdyż zostały zmajstrowane przez tego samego reżysera, a zestawienie jednego z drugim bardziej uwypukli cechy obu.

Zanim to zrobię na marginesie jedna uwaga: film-„kryminał" może być czasem dziełem nawet kulturalnego artysty, jeśli ten jeszcze nie posiadł, wymagającej przeróżnych, a zupełnie specjalnych wiadomości, techniki filmowej. Ale to jest rzecz do zrobienia i z chwilą, gdy kulturalny człowiek opanuje technikę, może robić dobre filmy. Natomiast analfabeta w zakresie kultury, może się tylko nauczyć rzemiosła filmowego i na tem koniec.

Uwaga ta dotyczy w pierwszym rzędzie Waszyńskiego Waszyński nauczył się roboty filmowej, ale należy wątpić czy kiedykolwiek zdobędzie się na kulturalny film. Jego upodobania ciągną go zawsze w stronę ordynarnych i płaskich pomysłów. Ubóstwo własnej wyobraźni stara się łatać szarżą aktorską.

Podzielmy sobie „30 karatów", film z Dymszą, na trzy części, wzorem teatralnym, jakby na 3 akty. Pierwszy akt jest nudny i gadulski. Drugi — zupełnie niezły i co najważniejsze operujący trafnie językiem filmowym. W trzecim...? Zwykła historja: zabrakło konceptu, więc dalejże wygłupiać się! Taniec dziadów przypomina prymitywy krajowej produkcji.

Dzięki scenariuszowi, przerobionemu z komedii Hertza w „Papie" starczyło konceptu na całość. Natomiast jest „Papa" daleko bardziej teatralny w porównaniu z II-gim „aktem" „30-tu karatów szczęścia". Za to, jako całość, nie tak dosadny w efektach. Przy końcu reżyseria uchybia nawet wymogom inscenizacji teatralnej. Ciągle otwierają się te same drzwi, ktoś wychodzi i gada. To już i w teatrze byłoby monotonne, nietylko w filmie.

Jeśli warto pójść na „Papę", to poto, żeby zobaczyć Andrzejewską, której gra dyskretna i pełna uroku jest wdzięcznym kwiatkiem na kożuchu całości. Należałoby pomyśleć o specjalnym scenariuszu dla tej aktorki i specjalnej dla niej komedii filmowej, okraszonej wdziękiem i sentymentem.

KANDYD

ERRATA. W artykule „Żydzi w Anglii", w Nr. 2 „Myśli Narodowej" poprawić tzzeba omyłki druku: Str. 21 szp. I u góry zam. Locedoun powinno być Laudoun. O parę wierszy niżej powinno być: Izaak Kohen przemienił się w Hisakira Kano. W drugiej szpalcie na tejże str. u dołu Charles Mendl jest nie attaché prawnym, jak wydrukowano, lecz „prasowym".

POKŁOSIE

KSIĘSTWO LIPPE I POLSKIE PRAWO ELEKCYJNE

PRZYJAZD królewny holenderskiej z małżonkiem do Krynicy stał się nielada gratką dla prasy, prześcigającej się w podawaniu najdrobniejszych szczegółów aż do zająca z buraczkami w jadłospisie obiadowym. Pójdźmy za tym przykładem i przypomnijmy pewną ciekawostkę z przed lat czterdziestu, tyczącą się rodziny księcia-małżonka Bernharda von Lippe-Biesterfeld.

Jak wiadomo w Rzeszy niemieckiej istniały trzy udzielne księstwa Lippe: Lippe-Detmold, Lippe-Biesterfeld i Schaumburg-Lippe. Księstwa niewielkie, ale starożytne i na ich terytorjum szukać należy owego lasu Teutoburskiego, gdzie Herman-Arminius zadał pamiętną klęskę rzymskim legionom Varusa.

Około roku 1898 zawakował stolec książęcy w Lippe-Detmold i o sukcesję walczyły obie pokrewne gałęzie z Biesterfeld i Schaumburga. Ks. Adolf Schaumburg Lippe był żonaty z siostrą Wilhelma II, nawiasem powiedziawszy tą samą, która później, po wojnie, w wieku dobrze podeszłym stała się bohaterką głośnego skandalu, straciwszy bowiem głowę ze spóźnionej miłości, wyszła zamąż za gigola rosyjskiego, kelnera i tancerza. Wilhelm II z właściwym sobie taktem i fugą forsował kandydaturę swego szwagra, co wywoływało wiele sprzeciwów w kołach książąt Rzeszy, gnębionych i tak dostatecznie podkreślaną na każdym kroku preponderancją Prus w cesarstwie. Sprawa znajdowała odgłos w opinji, która przez opozycję faforyzowała Biesterfelda.

Stopień pokrewieństwa, a z nim i przewagę praw do sukcesji było prawdopodobnie nie trudno ustalić, lecz strony zarzucały sobie nawzajem, iż nie są „*ebenbürtig*", t. zn. że mają wśród przodków po kądzieli takie osoby, których pochodzenie nie odpowiada wymogom dynastycznym i dyskwalifikuje potomstwo: a więc np. zwykłe szlachcianki, nie należące do rodów, uznanych za równe dynastiom.

W rodowodzie Biesterfelda taką skazą i zakałą miała być według zarzutów Schaumburga, jedna z babek, czy prababek, jejmość panna Modesta Unrużaka, z kwitnącego w Polsce rodu von Unruch, wywodzącego się z Niemiec, posiadającego jednak indygenat polski. Ostatecznie po długich sporach załatwienie sprawy przekazano sądowi genealogiczno-polubownemu pod prezydencją króla saskiego.

Sąd ów rozpatrywał sprawę bardzo szczegółowo i roztrząsał genealogję i prawa panny Modesty, a jako materjał historyczny służyła mu między innymi również monografja o rodzinie Unrugów, napisana przez Kraushara. Autor monografji po skończonym procesie został przez króla saskiego odznaczony orderem.

Orzeczenie sądu oddaliło pretensje szwagra cesarskiego Schaumburga i przyznało prawa Biesterfeldowi, a w toku rozpraw podniesiono, że panna Modesta, jako szlachcianka polska nie dyskwalifikowała swego potomstwa w zakresie praw do tronu, ponieważ w Polsce każdy szlachcic mógł być obrany królem i zasiąść na tronie. Czy istotnie to zapartywanie na prawa szlachty polskiej zaważyło decydująco na orzeczeniu sądu, nie wiadomo. Być może, a nawet jest bardzo prawdopodobne, że prawdziwym motywem była chęć zrobienia na złość Wilhelmowi, co było tem łatwiejsze, że drzewo genealogiczne Schaumburga wcale nie było wolne od skaz, gorszych niż panna Modesta i zarzuty, stawiane drugiej stronie, można było wytłumaczyć tylko dufnością w protekcję cesarską. W każdym razie rodowód Unrużanki i jej prawa dynastyczne były podówczas szeroko przez prasę roztrząsane.

Epilogiem tej sprawy była demonstrancja Wilhelma II na manewrach. Wilhelm oczywiście obraził się z powodu nieprzychylnego dla szwagra orzeczenia sądu, a nie mógł na razie nic zrobić. Wyładował zato swój zły humor niebawem podczas wielkich manewrów nad Renem. Jak zwykle po manewrach odbywała się defilada, a jednym z dowódców, prowadzących defilujące oddziały był generał książe Lippe, który właśnie wygrał ten proces. Wilhelm nie tylko nie odsalutował mu, lecz odwrócił konia tyłem w chwili gdy ten przejeżdżał. Zrobił się znów znaczny huczek wśród książąt Rzeszy, paru ż nich opuściło natychmiast manewry, projektowano nawet jakiś zbiorowy protest pod auspicjami regenta bawarskiego, ale do tego nie doszło, Prusy i cesarstwo zbyt już ciążyły nad Rzeszą, a jak niebawem miała wykazać rewolucja, ludność straciła już była przywiązanie do udzielnych odrębności.

Tak oto spór dynastyczny książąt von Lippe powiązany był z polskim prawem elekcyjnym i uprawnieniami polskiej szlachcianki.

ARGUS

NA MARGINESIE

Jak sobie na „froncie ludowym" opowiadają o dziejach Polski? Boy-Żeleński w „Wiad. Lit." tak przedstawia chwałę Sobieskiego pod Chocimem:

> „Musiała i tym razem Marysieńka zawieść oczekiwania Celadona [Sobieskiego], musiały karety i konfidencje wypaść nie dość po jego myśli, skoro rad nie rad wybrał *la Gloire*. Niedosytom miłości i karesów zawdzięczamy może—Chocim. Błogosławmy oziębłość Marysieńki, zamiast — jak czynią niektórzy historycy—jej złorzeczyć".

A gdyby tak Boy w jakichś „Wieczorach pod lipą" opowiedział w ten sposób całe dzieje Polski? Toby była radość w Izraelu!

*

W organie jakichś „naprawiaczy", noszącym tytuł „Zaczyn", znęcił nas artykuł „O nową krytykę literacką". Cały on zaleca się do przedruku, ale brak miejsca — damy tylko zakończenie. (Podkreślenia nasze):

> „Literatura państwowa, przełamująca system kostny życia, jak każda wielka literatura, wyrośnie z buntu. To może przychwycić największe talenty.
>
> Wyprawy polarne ostatnich czasów dostarczyły wielu nowych bohaterów. Trzeba być gorącym romantykiem z wierszy młodzieńczych, żeby iść na biegun, ale trzeba jednocześnie zabrać ze sobą najczulsze przyrządy matematyczne.
>
> Bohater, którego wywoła po książkach krytyka literacka typu państwowego, będzie miał w sobie coś z powagi Amundsena.
>
> Za oknami XX wiek..."

Znowu literatura państwowa — i tutaj łamanie kości... Autorzy takich wyczynów pisarskich w „Zaczynie" są numerowani jak więźniowie. Cyfry dziwnie kabalistyczne. Spróbujcie je sumować, mnożyć — zawsze w rezultacie dwa zera.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.